Nr. 157. Lwów — Środa dnia 12 Lipca. **Rok 1893.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

Cena prenumeraty we Lwowie:
Bez dostawy miesięcznie 75 ct.
Z dostawą do domu „ 1 złr.

Prenumeratę miejscową przyjmują:
Biuro dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.
Trafika przy ul. Karola Ludwika l. 5.
„ J. Ważnego przy ul. Czarnieckiego l. 2.
„ przy ul. Słowackiego (obok las. Dmby)
„ Niemojowskiego ul. Jagiellońska l. 6.
„ Nitałowskiego Hotel Żorża.
Prenumerata z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników ul. Karola Ludwika l. 9.

Numer kosztuje 4 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięcznie złr. [illegible] Półroczne złr. 6
Kwartalnie „ [illegible] Roczne „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazem. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENA OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 18 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 50 ct.
Reklamy . . . [illegible]
Nekrologia . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika Nr. 9

Dziś: śr. św. Henryka | Jutro: czw. św. Małgorzaty | Sob. SS. 12 Ap. 1 Julyi. Kosmy | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 4 m. 18, Zachód „ 7 „ 50 | Długość dnia g. 15 m. 32, Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 11 lipca.

Koło nasze w parlamencie niemieckim zawiodło wszystkich tych, którzy licząc na rozgoryczenie panujące w Wielkopolsce, spodziewali się politycznej kompromitacyi Polaków i już zawczasu z radości zacierali ręce. Jego oświadczenie, znane z wczorajszego telegramu, nietylko jest aktem mądrości politycznej, ale i protestem przeciw pogłoskom, podług których w Kole wytworzyła się mniejszość tak stanowczo przeciwna militarnemu projektowi, że gotowa nawet była zerwać solidarność i utworzyć bodaj na chwilę jakieś osobne kółko. *Germania*, która drukowała listy anonimowego posła polskiego, bezwzględnego przeciwnika rządowych wymagań, zapowiadała kategorycznie rozbicie się Koła i radziła jego większości, aby unikając tej katastrofy, cała stanęła po stronie opozycyi. Powszechnie mówiono, że duszą i głową tej mniejszości jest ks. dr. Jażdżewski, a obok niego p. Leon Czarliński; pierwszego z nich miano za autora listów w *Germanii* i za człowieka, który za zasadę postępowania Koła postawił, aby ono pierwej otrzymało od rządu różne niezbędne ulgi, a dopiero potem, jako zapłatę, oddało swój głos za militarnym projektem. Oczywiście, te wszystkie pogłoski uwłaczały Kołu; mogło ono opublikować w berlińskich dziennikach zaprzeczenie, znalazło jednak dosadniejszy sposób. Oto powierzyło złożenie swej deklaracyi temu właśnie ks. Jażdżewskiemu, którego pomawiano o skłonności opozycyjne. Przyjęciem tego mandatu, deputowany ów odsunął od siebie wszystkie przypuszczenia i zarazem obalił pogłoski rozsiewane tak gorliwie o Kole. To jest taktyczne znaczenie tej deklaracyi, a polityczne powinno być ogromne. Koło stanęło przed rządem nie w roli stronnictwa, które korzystając z chwilowo pomyślnej sytuacyi, wymusza pewną zapłatę, łatwą zresztą do cofnięcia później, lecz z całą bezstronnością przyznało państwu to, co mu potrzebne, chociaż samo jest przedstawicielem narodu krzywdzonego. Więc jak gdyby powiedziało, że pomimo wszystkiego, co się dzieje w Wielkopolsce, ona nie jest tem, za co ją zawsze podawali mamelucy Bismarka i czem usprawiedliwiali ucisk, nie jest zbiorowiskiem „notorycznych" wrogów państwa. W takiej samej sytuacyi bywała niegdyś nasza delegacya w Wiedniu i tak samo z niej wychodziła. Nieraz wówczas narzekano na nią, potępiano ją nawet bardzo gwałtownie, ale dziś już przyznają wszyscy, że postępowała mistrzowsko. Zapewne narzekania będą teraz na berlińskie Koło, lecz i one rychło się okażą niesłusznemi. Niepodobna przypuszczać, aby ze społeczeństwem, które czynami dowodzi swej lojalności i ufa w sprawiedliwość rządu, chciano postępować jak z wrogami, albo jak z handlarzami, których się opłaca, lecz nie szanuje, a więc przy sposobności zapłatę bez skrupułów cofa. Jesteśmy pewni, że Koło polskie przedstawiło kanclerzowi swoje życzenia, sformułowane jasno, — to ono obowiązane było zrobić i w tem nie ma nic ubliżającego — ale nie mówiło mu: „daj nam, a potem my tobie damy". To już byłoby całkiem zbyteczne, boć kanclerzem jest nie Bismark, a głos decydujący w państwie mają nie liberałowie.

Oświadczenie Koła polskiego, podane w telegramie krótko, nie jest jeszcze znane nam w całości. Lecz otrzymane dziś dzienniki berlińskie podają je dość obszernie, więc podług nich brzmi ono tak:

„Reprezentacya polska postanowiła jednogłośnie nie wnikać w szczegółowy rozbiór projektu militarnego podczas teraźniejszej dyskusyi. Tę powściągliwość naszą zechce parlament sprawiedliwie ocenić i wytłumaczyć ciężkiemi trudnościami, z jakiemi walczyć musimy w państwie pruskiem. Podnosić i wykazywać tych trudności wcale nie chcemy przy tej okazyi. Wprost oświadczamy, że będziemy głosowali za projektem rządowym. A komu z panów wyda się to dziwnem, temu oświadczam, iż nie czynimy tego bez głębokiego zastanowienia i bynajmniej nie przez wytykaną nam usłużność. Postępujemy tak, bośmy niewzruszenie przekonani, że w ten sposób najlepiej służymy wzniosłym i świętym interesom, powierzonym nam przez wyborców. Równocześnie jednak ufamy, że zarówno rząd pruski, jak niemiecki, życzliwie ocenią nasze bardzo ciężkie położenie i naszą wielką odpowiedzialność. Spodziewamy się, że te rządy wedle ich mocy usuną z naszej prowincyi to wszystko, co w niej rodzi ogrom cierpień i niezadowolnienia, co nas jątrzy, wstrząsa naszemi sumieniami i goryczą napełnia serca. Mniemamy, że nasza lojalność i powściągliwość w podnoszeniu skarg będzie należycie oceniona i życzliwie uznana przez rząd. Sądzimy, że zawodu nie doznamy. A jeśli inaczej się stanie, to przynajmniej nie z naszej winy: oto sumiennie spełniamy nasz obywatelski obowiązek; w zamian nie oczekujemy nic więcej, oprócz sprawiedliwości. Jeśli jej nie stanie się zadość, zawini ten, kto jej nie wymierzył".

Raz tylko przerwano tę deklaracyę hucznymi oklaskami, ale wnet potem zaległa głęboka cisza i parlament z uwagą słuchał słów polskiego mówcy. A kiedy on skończył, donośnie zawołał socyalista Singer: „Obyście się tylko nie zawiedli!"

Zobaczymy, czy Singer dobrze zna rząd berliński. W każdym razie to pewna, że żałować tego kroku nigdy nie możemy, chyba, że opanowałaby nas chętka bezcelowej zemsty i żal, iżeśmy opuścili sposobność dokuczenia rządowi. Dokuczenia — nic więcej, bo opozycya niczby nam nie dała.

Jeżeli się zważy, że teraz, po raz pierwszy od istnienia parlamentu, wybrano jednego Polaka, p. Cegielskiego, dygnitarzem parlamentarnym, bo sekretarzem prezydyum, to wolno przypuszczać, że zaczyna brać górę inne zapatrywanie na Koło polskie i na tych, kogo ono reprezentuje.

Oczywiście, co się dziesiątki lat psuło, tego niepodobna naprawić odrazu. Polityka normalna, nierewolucyjna, skoków nagłych nie znosi, bo administracya państwowa jest bardzo skomplikowaną machiną. Więc cierpliwości nam potrzeba i czujnej straży interesów, ale i rząd powinien co rychlej pokazać, że ta cierpliwość do czegoś doprowadzi. W ten sposób wzmocni grunt, na który weszło Koło.

Ważny zwrot zapowiada się w stosunkach politycznych na Węgrzech, gdzie one dotychczas są wielce anormalne. Od lat bowiem kilkunastu prowadzą liberalne rządy węgierskie politykę wrogą religii katolickiej, która w tym roku wyrodziła się niemal w otwartą wojnę z Kościołem, większość narodu jest katolicką, a mimo to dotychczas nie stworzono w parlamencie katolickiej opozycyi.

Wprawdzie w izbie magnatów zorganizowała się ona pod przewodnictwem hr. Ferdynanda Zichy'ego w toku tegorocznej debaty budżetowej i uchwaliła wotum nieufności gabinetowi p. Weckerlego — lubo mu budżet przyznała — natomiast w sejmie panują te same stosunki co przed laty dziesięciu i dwudziestu. Z wyjątkiem kilku posłów, którzy wystąpili ze związku stronnictwa liberalnego jak Asboth, należą doń dotychczas oprócz bezwyznaniowych kreatur także ci posłowie, którzy sprzyjają religii katolickiej i jawnie potępiają kościelno-polityczny program p. Weckerlego. Anomalia ta utrzymuje się dotąd fortelem prezesa gabinetu, który w klubie liberalnym przeparł uchwałę, że ci członkowie rządowego stronnictwa, którzy zamierzają głosować przeciw kościelno-politycznym reformom, mimo to pozostać mogą nadal członkami rządowej frakcyi. Uchwała ta była jednym z najniedorzeczniejszych paradoksów, bo przecież wedle własnych słów p. Weckerlego, polityka kościelna stanowi podstawę jego gabinetu, wszelako musiał się on uciec do tego środka, aby jeszcze przez pewien czas utrzymać się przy władzy. Gdyby bowiem stronnictwo liberalne było uchwaliło, że każdy, kto jest przeciwnikiem reform kościelno-politycznych musi wystąpić, wówczas opozycyjne stronnictwo w sejmie zostałoby tak wzmocnione, że gabinet p. Weckerlego byłby runął jeszcze na wiosnę, w toku debaty budżetowej.

Po ukończeniu tej debaty odroczono sejm aż do jesieni i wszystko ucichło po dawnemu. Liczba przeciwników reform kościelnych tylko nie zmalała, ale wzrosła nawet. Mimo to sami przeciwnicy nie tworzyli osobnego stronnictwa. Niejeden mógłby powiedzieć, że właściwie jest to rzeczą zbyteczną, gdyż panowie ci w decydującej chwili głosować będą przeciw rządowi; tak jednak nie jest. Gdyby bowiem wszyscy przeciwnicy reform kościelnych, dotychczas rozproszeni po różnych frakcyach, połączyli się w zwarte stronnictwo, to mogliby już dziś zorganizować potężny ruch opozycyjny w całym kraju. Potrzebę tego uznawano już oddawna, — jednak nie znalazł się dotychczas nikt, ktoby ujął tę sprawę w swe ręce.

Przed kilku dniami dopiero uczyniono pierwszy krok ku temu, a inicyatywa wyszła z łona rzymsko-katolickiego duchowieństwa dekanatu czermeckiego w komitacie weszprymskim. Urządziło ono w ubiegły czwartek zgromadzenie, które uchwaliło następującą rezolucyę: „Zgromadzeni protestują energicznie przeciw polityce kościelnej dzisiejszego gabinetu, protestują przeciw wszelkim uchwałom na korzyść projektowanych reform, powziętych na zgromadzeniach komitatowych, gdyż uchwały te nie są wyrazem opinii publicznej, lecz narzuconą opinią urzędników komitatowych i prywatnem zdaniem żydowskich wirylistów. Nadto oświadczają zgromadzeni, że celem skutecznego zwalczenia programu rządowego uważają za rzecz nieodzowną utworzenie katolickiego stronnictwa w sejmie na wzór potężnej frakcyi centrum w parlamencie niemieckim".

Rezolucyę tę ogłosiły dwa poważne pisma peszteńskie, a w sferach przeciwnych bezwyznaniowym zakusom liberalnego rządu przyjęto ją z zapałem. Być więc może, że w jesieni, gdy sejm węgierski zostanie otwarty, znajdzie się w nim już zwarta opozycya katolicka.

Kronika paryzka.

Paryż 2 lipca.

(*W. Z.*) Dzień „Grand Prix", który zazwyczaj stanowi koniec sezonu i daje wykwintnemu towarzystwu paryskiemu hasło do wyjazdu do kąpiel, dawno już minął, a mimo to arystokracya siedzi wciąż jeszcze w skwarnych murach Paryża. Tak jej trudno jakoś rozstać się z ulubionemi zabawami ogrodowemi, które teraz weszły w modę w całej Europie i stały się ulubioną i najbardziej dystyngowaną zabawą. Stąd też każdy bogaty człowiek, mieszkający w mieście stara się o to, aby dokoła swego pałacu miał chociażby niewielki ogródek, w którymby mógł dawać podwieczorki i inne przyjęcia, zwane „Garden parties". Nieraz pomimo gorąca kończy się taka zabawa małą „sauterie", tz. tańcem. Niejedna rodzina dekoruje swój ogród na takie zabawy z wielkim przepychem. Pod tym względem zaćmiła wszystkich pani ambasadorowa angielska lady Dufferin, która na ostatniej zabawie przemieniła swój ogród w jakąś zaczarowaną krainę. Lampiony o rozmaitych barwach migotały wśród krzaków, gdzieniegdzie światło elektryczne rzucało snopy barwnych promieni, pomiędzy drzewami rozpostarto najdroższe dywany i gobeliny. W ogóle zabawy takie są dla gospodarza domu rzeczą bardzo kosztowną, zwłaszcza, że teraz zaczyna się do nich wkradać najnowsza amerykańska moda, polegająca na tem, że gospodyni każdemu z gości daje na pamiątkę jakiś podarunek. Moda ta dała powód jakiemuś dowcipnisiowi do puszczenia następującej nieprawdopodobnej pogłoski na pewną bankierową znaną ze skąpstwa. Nie chciała ona ofiarować swym gościom żadnego prezentu, więc jedna z dowcipnych pań powysypywała sól z solniczek pod girlandy kwiatów leżących na stole — poczem gdy powstały od stołu, każda wzięła solniczkę i dziękowała pani domu za taki sympatyczny a dowcipny prezent.

Za kilka dni ustaną i te zabawy, i cały świat arystokratyczny rozjedzie się do Trouville i innych miejsc kąpielowych szukać tam wzmocnienia.

Przed kilku dniami pojawiła się w handlu księgarskim ostatnia powieść Zoli p. t. „Doktor Pascal" zamykająca głośny cykl Rougon-Macquart. Jestto bądź co bądź wypadek pierwszorzędnej doniosłości w literaturze francuskiej. Doktor Pascal kończy seryę, rozpoczętą przed 25laty, bo w r. 1868, którą wytrwały autor przez ćwierć wieku rozwijał, by dać zupełny i wierny obraz życia jednej rodziny za drugiego cesarstwa. Będąc jeszcze młodym 28-letnim człowiekiem, zakreślił sobie Zola z góry cały plan tego olbrzymiego dzieła i dokonał go obecnie, poświęciwszy mu 25 lat życia. Jestto niewątpliwie w belestrystyce wypadek jedyny.

Pomysł do napisania tego cyklu powieści powstał u Zoli częścią skutkiem wrodzonej mu, a tak rzadkiej u Francuzów skłonności ujmowania wszystkiego w system, częścią zaś przyczynił się do tego, jak zapewnia przyjaciel jego Paweł Alexis, wzgląd prozaiczny, praktyczny, t. j. chęć zawarcia z księgarzami z góry, na szereg lat układu, zapewniającego mu niezależność materyalną. Dziwnym zbiegiem okoliczności w wilię pojawienia się tego jubileuszowego dzieła Zoli odbył się wybór do akademii i 26 głosami obrano Brunetière'a a Zola otrzymał zaledwie cztery. — W każdym razie Zola jest dziś bohaterem dnia w Paryżu a dzienniki pełne są wiadomości o życiu jego w ciągu tych 25 lat tworzenia cyklu Rougon Macquartów. — Jeden z dzienników donosi przy tej sposobności, że Zola we wrześniu r. z. *był* na tajnem posłuchaniu u Ojca św.

Pyszną zabawkę ma teraz Paryż z bezrobociem dorożkarzy. Mistrze ci bata od dawna są w ciągłej sprzeczce z przedsiębiorcami, utrzymując, że nie są w stanie zarobić na dobę nawet 20 franków, które muszą zapłacić z góry przedsiębiorcy, siadając z rana na kozioł; stąd też bezrobocie. Oczywiście nie wygodną to rzeczą jest tak dla publiczności jak dla przedsiębiorców, gdy nagle stanie bezczynnie kilka tysięcy dorożek, aby więc złemu zaradzić, przedsiębiorcy, uzyskawszy pozwolenie prefekta policyi, powierzają swe powozy i konie każdemu, choć nie fiakrowi z powołania, ktokolwiek się do nich zgłosi. Oczywiście kandydatów jest dosyć, a nie są to ludzie najlepszego towarzystwa i obyczajów, ale bawi to Paryżanina, gdy patrzy na rozpierające się na kozłach najniemożliwsze typy, z którymi nieprzyjemnie byłoby spotkać się nocną porą. Bawi go jednak daleko więcej, gdy mu się uda być obecnym przy załatwianiu nieporozumienia między tymi woźnicami-amatorami a ich bastującymi, zawodowymi kolegami. Jeżeli policya w takim razie w porę nie przyjdzie na pomoc, wówczas niepowołanego dorożkarza muszą odwozić do szpitala, a kawałki połamanego wozu do składu. Już kilkadziesiąt powozów spotkał ten los. Wobec tego podziwiać należy odwagę pewnego tutejszego dziennikarza, który dla zdania sobie dokładnie sprawy ze stanu zatargu zaangażował się również na cały dzień. Powoził on z monoklem w oku, a każdego ze swych pasażerów zapraszał na szklankę piwa. Okazało się, że ów zaimprowizowany dorożkarz zarobił tylko w ciągu dnia 25 franków 45 centimów, którymi rozporządził w sposób następujący: 10 franków 60 centimów przesłał towarzystwu wynajmującemu dorożki jako należytość za 12 godzin jazdy, 4 franki policzył sobie na śniadanie i obiad, jednego franka potrącił na różne napiwki, pozostałą zaś resztę 9 franków 85 centimów, stanowiącą jego czysty zarobek, przesłał do rozporządzenia komitetu urządzającego bezrobocie dorożkarzy. Pokazuje się zatem, że dola paryskich władzców bicza nie jest tak bardzo opłakana.

Wiadomość o śmierci młodego księcia d'Uzès wywołała wielkie wrażenie. Matka zmarłego odgrywa w tutejszym wielkim świecie wybitną rolę, a jej miliony przyczyniły się głównie do powodzenia Boulangera. Syn jej, młody, 25-letni, nader sympatyczny mężczyzna, sprzykrzywszy sobie paryskie życie, które prowadziło go do kurateli, a rozgłos przynosiło pewnej aktorce, aby się wyrwać stanowczo z tutejszych stosunków, powziął śmiałą myśl urządzenia naukowej wyprawy do wnętrza Afryki i sam stanął na jej czele. Przez kilka miesięcy wśród trudów i niewygód przetrwał pod zabójczem afrykańskiem niebem, aż w wilię powrotu, gdy już czekał nań w porcie parowiec, mający przewieźć go do Francyi, uległ atakowi dysenteryi. Wiadomość o śmierci tego młodego człowieka wywołała szczery żal i współczucie u całej paryskiej publiczności.

Inspektorowie szkół ludowych.

II

„Ciekawe uwagi nie-pedagoga — pisze p. A. W. — w sprawie inspektorów szkół ludowych, które miałem sposobność przeczytać, tak mocno mnie zainteresowały, że nie mogłem przytłumić w sobie chęci zrobienia kilku uwag napisanych z przekonania, nie zaś z uprzedzenia lub interesu własnego; z różnorodności zdań powstaje zasada, a na jej filarach spoczywa świat. Wadą, mającą największe i najgłębsze znaczenie w piśmie szanownego nie pedagoga jest to nieszczęsne słowo „nieraz", które już samo przez się obala przyczynę złych i nieodpowiednich inspektorów. Bo czyż można znaleść stan, choćby jeden, w którymbyśmy nie mieli „nieraz" złych i nieodpowiednich ludzi? W takim razie to, co inspektorom, trzebaby każdemu stanowi zarzucić.

Jeżeli przyczyną złych „nieraz" i nieodpowiednich inspektorów ma być za niskie ich wykształcenie i często niskie ich pochodzenie, to cóż, spytam, jest przyczyną dobrych i odpowiednich inspektorów, którzy ze stanu nauczycielskiego też pochodzą i dlatego nie wyższe od tamtych wykształcenie posiadać mogą? A że wielu jest takich, tego zaprzeczyć nie można, zwłaszcza, że i sam autor nie zaprzecza, skoro twierdzi, że „nieraz" miewamy złych i nieodpowiednich inspektorów.

Nikt nie odważy się znowu bronić tego, że nie ma złych i nieodpowiednich inspektorów. Musiałby chyba przypuścić, że świat jest idealny (o ile człowiek może dojść do ideału), a to przecież niepodobieństwo. Przyczynę zaś tego złego należałoby upatrywać w tem, że inspektor jest za mało w swych czynnościach kontrolowany i dlatego pozwala sobie nieraz na nadużycia.

---

27)

ICH SYN

Powieść współczesna

przez

HAJOTĘ.

(Ciąg dalszy).

Matka jej tymczasem dopijała wystygłą herbatę, zjadając resztki bułki. Odstawiła szklankę i ziewnęła głośno, zatulając chustkę na piersiach.

— Okropniem niewyspana — rzekła, — a przecież wróciłyśmy przed piątą. Nie można powiedzieć, bal był świetny. Prawda?

— Tak, — potwierdziła panna Władysława obojętnie, tylko w buduarze były takie przeciągi, że mnie znów w gardle drapać zaczyna. Gotowam dostać anginy. Straszna rzecz, co się z tem mojem zdrowiem zrobiło. Wszystko mi szkodzi.

— Zawsze było wątłe — zauważyła matka. Ty masz żal do mnie, żem ci nie dała popełnić szaleństwa, które Bóg wie, jakie następstwa za sobą pociągnąć mogło. A toż pomijając wszystkie inne względy, twój własny organizm nie nadawał się do tego życia. W ciągu tego śladu by z ciebie nie było.

— Byłabym zdrowszą i silniejszą niż kiedykolwiek — odparła panna Władysława ożywiając się a czarne jej oczy strzeliły dyamentowym ogniem. Bezczynność mnie strawiła i ta marna egzystencya, której wynikiem jest zupełne fiasco.

— Otóż masz! — wykrzyknęła jej rodzicielka. — Zawsze też sama piosnka. Jakie fiasco? Czyż to już ostatnia godzina twojej karyery wybiła. Wczoraj naprzykład wyglądałaś prześlicznie. Prześlicznie! i zrobiłaś konkietę, doprawdy zrobiłaś. Już ja widziałam.

Przekwitająca panna rozśmiała się wzgardliwie.

— Konkietę! — powtórzyła. Pocieszająca jest ta liczba pojedyncza dla mnie, która dawniej po pięćdziesiąt konkiet na każdym balu robiłam.

— I tego ci nigdy dosyć nie było.

— Zapewnie, że nie. Kto czuł w sobie władzę entuzyazmowania tłumów, temu zachwyty jednostek wystarczyć nie mogły. Władysława Talska nie do takich hołdów stworzoną była. Oklaski i wieńce słano by jej do stóp i nietylko tu, ale może i za oceanem nawet.

— Ty się dziś wyraźnie uwzięłaś na mnie — jęknęła pani Talska. Co się z tobą robi? Po każdym wieczorze stajesz się zgryźliwszą i większą malkontentką. Myślisz, że to także szkodliwie na urodę nie wpływa?

— Bo też coraz bardziej nudzi mnie i męczy to wszystko — odpowiedziała panna Władysława.

Opuściła ręce na kolana i zaczęła się przypatrywać rozciągniętej na ziemi dłonią do góry rękawiczce. Coś, jakby nuda i niesmak tej, która ją nosiła, wyglądała z jej sterczących ku sufitowi ciemnemi plamami poznaczonych palców.

— Jestem podobna do tej rękawiczki — ciągnęła dalej panna Władysława, dotykając ją końcem bambosza.—Plamy te znikną pod benzyną, jak znika moja gorycz i przygnębienie pod werniksem *savoir vivre'u*; ale świeżość pranych rękawiczek i mój dobry humor nie warte są szeląga.

Zamyśliła się. Pani Talska ziewała.

— O jakiejże to konkiecie mama mówiła? — rzekła po chwili córka nie podnosząc oczu.

Stara kobieta poprawiła się na szezlągu. Jej wązkie, zapadnięte usta, ożywiły się uśmiechem zadowolnienia; w oczach mignął blask nadziei i tryumfu. Wrażliwością wydawała się w tej chwili młodszą niż apatyczna jej obojętna córka.

— O jakiej? — powtórzyła — naturalnie że o tejże, o której ty sama doskonale wiedzieć musisz. O młodym Danieleckim przecież. Oczarowałaś go.

Panna Władysława parsknęła śmiechem. Był to śmiech przymuszony, teatralny jakiś i przez to smutny.

— Tego dzieciaka? *Oh! la belle farce!* Jego matka młodziej odemnie wygląda. To dopiero wspaniała konkieta.

— Tak powiadasz. A ja ci mówię, że najlepsza, jaką mogłaś zrobić. Chłopiec śliczny, z dobrej rodziny, jedynak; powiadają, że ojciec jego ogromny majątek w Ameryce zbija. Matka ma piękną wieś, która przecież jemu się dostanie, a przytem tak mu dobrze z oczu patrzy, taki jakiś niepodobny do tej naszej wymiękłej, zblazowanej młodzieży.

— Bardzo to być może; ale co ztąd?

— Jakto, co? Podobałaś mu się szalenie, nie zaprzeczaj, widziałam. Już ja lepszej partyi dla ciebie nie chcę.

Panna Władysława ruszyła ramionami.

— Mama chyba ze mnie i z siebie żartuje, — rzekła zwolna — Daleniecki musi być młodszy odemnie o jakie lat dwanaście i gdyby już był takim zdecydowanym amatorem... konserw, zakochał-by się raczej w swojej matce, która przecież, jak mówiłam, lepiej odemnie jest zakonserwowaną.

Pani Talska ze zgrozą spojrzała na córkę.

— Władziu, Władziu, co ty wygadujesz. Przyzwoita panna nawet żartem takich niesmacznych konceptów pozwalać sobie nie powinna. Zakochać się w swojej matce! Toż to bluźnierstwo. Czy myślisz, że ty sobie także tą nieoględnością w mowie nie szkodzisz?

— Myślę, że szkodzę sobie najbardziej tem, że żyję w ogóle, — odparła cierpko panna Władysława. — Ale dajmy temu pokój. Danieleckiemu także. Biedny młodzieniec ani się spodziewa, jakie obudził nadzieje. Tylko na szczęście musi być przyzwyczajony do humbugów amerykańskich, więc by go i ta kombinacya nie zdziwiła.

— Otóż to! Zawsze każesz mi dawać pokój, ilekroć chcę z tobą pomówić seryo.

— O czemś podobnem nie można mówić seryo.

— A to dla czego?

Pani Talska usiadła prosto na szezlągu i odrzuciła chustkę z ramion. Kwestya matrymonialna rozgrzała ją skutecznie. Zaprzestała nawet ziewać.

— Dlaczegóż? — powtórzyła z naleganiem. — Czy to chodzi o wyprawę na księżyc, albo o wskrzeszenie umarłego? Zdawałoby się, żeś nigdy o takich małżeństwach nie słyszała. A tymczasem pełno ich i jakich szczęśliwych jeszcze.

Obejrzała się znowu na drzwi zamknięte.

— Jesteśmy same, — ciągnęła dalej, mimowolnie głos zmieniając, — możemy więc mówić bez ogródki. Twoja pierwsza młodość już minęła.

— Dopiero pierwsza — podchwyciła sarkastycznie panna Władysława. — Mama jest bardzo łaskawą.

— Proszę cię, nie przerywaj. Powiadam, że pierwsza twoja młodość już minęła, ale zostały ci oczy, jakich drugich na świecie nie ma, a które gdy się ożywisz, błyszczą po dawnemu. Została ci twoja królewska postawa, gracya, wykształcenie, dowcip, gdy chcesz być dowcipną, zyskałaś nadto na doświadczeniu życia, na pewności siebie.

— Straciłam chyba na niej, — przerwała znowu panna Władysława. — Tryumfatorowie tylko mogą być pewni siebie.

— Masz pewność siebie, — ciągnęła dalej nie zważając na przerwę pani Talska. — A takie panny są najniebezpieczniejsze dla młodych, dziewiczych jeszcze, że tak powiem, serc.

— Czyli wyrażając się mniej poetycznie: stają się guwernantkami miłości dla niedorostków — rzekła panna Władysława. — Śliczna i wdzięczna rola. Przyznam się, że wolałabym grać subretkę na scenie.

Wstała i wziąwszy zmięte kwiaty z toalety, wróciła na dawne miejsce i zaczęła je odświeżać i prostować palcami.

Pani Talska z politowaniem tylko ramionami ściągnęła i niezrażona mówiła znowu.

— Drwij jak chcesz, moja Władziu, jeśli ci to przyjemność robi, ale fakt zostanie faktem, że takie panny, jeżeli wychodzą zamąż, wychodzą świetnie i zawsze za młodszych od siebie. To rzecz bardzo naturalna. Dojrzałemu, a szczególniej przeżytemu mężczyźnie najbardziej się podoba szesnastoletnie, naiwne dziewczę, rumieniące się za każdem słowem, nie mające o niczem pojęcia. To go nęci, zachwyca, pociąga, przez kontrast z nim samym. Weź na przykład takiego de Soligny-Kierczyńskiego.

— Mama go nazywa przeżytym! — wymówiła panna Władysława. Chuchała na pogniecione kwiaty i może dlatego policzki jej zaróżowiły się lekko, a rumieniec ten w jednej chwili przeobraził ją zupełnie. Stało się z nią jak z zachmurzoną czasem okolicą, którą promień słońca oświecił, wydobywając na jaw bogactwo jej barw i konturów. Tak, ta kobieta ustrojona, uśmiechnięta, umiała być jeszcze teraz cudownie piękną. (C. d. n.)

Dalej powiada autor, że powoływaniem najzdolniejszych i najpracowitszych nauczycieli na inspektorów (bo innych przecież nie przyjmą) robi się uszczerbek ludowej oświacie, a otrzymuje się nieraz złych i nieodpowiednich inspektorów. Skoro ma być tak, to nie wiem, jak może dobry i zdolny nauczyciel, zostawszy inspektorem, stać się tem samem złym i nieodpowiednim, zwłaszcza, że nie rozumiem, co może być tak trudnego zostać inspektorem dla człowieka, któremu nie zbywa na zdolności i dobrych chęciach. Czyż nauczyciel dobry i zdolny, zostawszy inspektorem, nie będzie się starał stać się godnym tego zaszczytu, jaki go spotkał; czyż nie spotęguje swych starań, aby pokazać, że on i dobrym inspektorem być potrafi? Musiałyby to być chyba nader rzadkie wyjątki, których w rachubę brać się nie powinno.

Autor sądzi dalej, że nauczyciel skończywszy niższe gimnazyum i kurs nauk zawodowych w seminaryum nauczycielskiem, może nauczyć dziatwę pisać, czytać i rachować, podać jej arcypraktyczne rady, obznajomić ją z przyszłym jej zawodem rolniczym, wszczepić nawet zasady patryotyczne, nie będzie jednak — mówi dalej — nigdy w stanie wyrobić się na dzielnego, świadomego swych celów kierownika, przewodnika pracy nauczycielskiej w dużym, bo dwa powiaty obejmującym okręgu. Nie może spełniać swych obowiązków dzielnie i skutecznie, bo nie ma dostatecznego zasobu inteligencyi, bo nie wie, do czego szkoła ludowa dążyć powinna, bo nie doróśł do tego poziomu, na którym współczesny „obywatel" kraju (w całem słowa tego znaczeniu) stać powinien, a na który to poziom wdrapać się można li przez uzyskanie wyższego wykształcenia, jakie dają studya uniwersyteckie, oparte na fundamencie całokształtu nauk w szkołach średnich."

Gdyby się był autor tylko dobrze zastanowił nad doniosłością tego twierdzenia, byłby z pewnością zaniechał swych zamiarów. Ja uważam, że to jest chyba próbka literackiego w klasycznem znaczeniu popisu, wzięta na nieszczęście nie z mitologii greckiej lub rzymskiej, ale z ciężkiego i pełnego znaczenia życia nauczycielskiego, bo oprócz słów pięknych, nic innego w tem twierdzeniu nie widzę.

Jeżeli nauczyciel nie będzie mógł wyrobić w sobie dostatecznego zasobu inteligencyi, czego na razie nie chcę przypuszczać, to czyż można twierdzić tak stanowczo, jak autor twierdzi, że ją każdy akademik w sobie wyrobi i posiadać będzie?

Iluż znałem ludzi ze studyami uniwersyteckiemi i ilu każdy zna z pewnością, że nie posiadali i nie posiadają żadnej prawie inteligencyi, kiedy przeciwnie wielu ludzi prostych jest inteligentnych. Niech więc ogół sądzi, nie ja!

Zarzucanie nauczycielowi, że nie może wiedzieć, do czego szkoła ludowa dążyć powinna, jest chyba tylko omyłką. Jakżeż można było poruczyć nauczycielowi kierunek szkoły ludowej, skoro on nietylko nie wie, ale wiedzieć nie może o jej zadaniu? To w takim razie nie błąd nauczyciela, że go nim zrobiono.

Tymczasem każdy nauczyciel wie, że szkoła ludowa ma kształcić poruczoną jej dziatwę na dobre dzieci Kościoła i ojczyzny, bo to są dwa cele życia ludzkiego. Czy jeszcze cel inny?!

O przewodnictwie pracy nauczycielskiej w dużym, bo dwa powiaty obejmującym okręgu dałoby się tyle powiedzieć, że szewc będzie lepiej kierował szewstwem, jak adwokat; tenże przewodnik będzie lepiej manewrował prawami jak inżynier. I tak każdy zna swoje i w swojem może być tylko doskonałym.

Nie przeczę, że nauczyciel po ukończeniu swych studyów nie odpowie zadaniu inspektora, ale czyż można twierdzić, że mu nigdy nie jest w stanie odpowiedzieć?

Mnie się zdaje, że człowiek przy pracy nad sobą samym, wytrwałości i zwyczajnym talencie nie zadaniu inspektora, ale najwyższych dygnitarzy, skoro by chciał, potrafiłby odpowiedzieć. Iluż to było i jest takich ludzi, którzy pracą i wytrwałością przy zwykłych talentach cudów dokazywali?

Autor wierzy, że tacy ludzie się pojawiają, ale są to arcyrzadkie wyjątki, zdarzające się co lat kilkadziesiąt i że na nich się liczyć nie można. Całą zaś działalność ich przypisuje dziwnym i do wytłómaczenia trudnym zdolnościom.

Jabym przypisał to tylko pracy i wytrwałości.

Autor dzieła „Prawdą a pracą" tak powiada:

„Największa część wielkich ludzi, którzy najbardziej popchnęli świat na drodze postępu, nie byli to właściwie geniusze, ale ludzie ze zwykłemi zdolnościami, spotęgowanemi przez własną usilność niezmordowani pracownicy, cierpliwi, ufni we własną siłę, nie cofający się nigdy po rozpoczęciu dzieła."

Nie przeczę i tego, że ludzie tacy nie jak grzyby po deszczu wyrastają, ale trzeba przyznać, że to są ludzie, którzy do zadziwiających rezultatów swą pracę doprowadzili; ludzi zaś, którzy do zwykłych rzeczy i stanowisk tylko pracą dochodzą, jest daleko więcej i należy się z nimi liczyć.

Nie trzeba także sądzić, że to byli i są ludzie tylko z uniwersyteckiem wykształceniem.

Czyż Jedadiahowi Buxtonowi, który w dzieciństwie wyuczył się tylko tabliczki mnożenia, a dzięki swej pracy i wytrwałości doprowadził do tego, że mógł w pamięci podnieść do kwadratu liczbę z 39 cyfr się składającą, był kto w stanie powiedzieć, że ty, nie skończywszy uniwersytetu, obliczyć tego nie mogłeś?

Gra tu niepoślednią rolę talent, ale większą praca, która z samouka i nieuka robi mistrza; studya zaś są jeszcze same przez się niczem, choćby nawet i uniwersyteckie.

Do podobnych samouków jak Buxton, należeli Bidder, William Carey i wielu innych, do których należeć może i nauczyciel ludowy, zwłaszcza że więcej umie bez porównania, niż oni umieli, nim swą pracę rozpoczęli.

To wszystko mnie przekonuje, że nauczyciel, który chce być inspektorem dobrym, mo że zadość uczynić zadaniu, a rozumie się, że takich tylko inspektorami czynićby należało; naiwnym zaś byłbym, gdybym gwałtem chciał udowodnić, że każdy nauczyciel dobrym inspektorem być może i że nauczycielstwu dla tego ludzi z uniwersytetu nie potrzeba.

Jeżeli będziemy uważać nauczyciela za nieświadomego swych celów kierownika, z góry orzec można, że wszystkie nadzieje, budowane na gruncie szkolnictwa, spełzną na niczem.

Szkoda tylko trudu i pieniędzy."

KRONIKA.

Lwów 11 lipca.

Arcyksiążę Leopold Salwator z żoną swą arcyksiężną Bianką, powrócił wczoraj z Wiednia do Lwowa.

Zatwierdzenie wyboru. Cesarz zatwierdził wybór pana Józefa Friedleina na prezydenta miasta Krakowa.

Mianowania. Dyrekcya poczt i telegrafów nadała posady pocztmistrzów: w Jaworowie Rudolfowi Wawroszowi, w Cieszanowie Aleksandrowi Pilawskiemu, w Mościskach Justynowi Kotowiczowi, w Jazłowcu Józefowi Borowcowi, w Gwoździcu Józefowi Stankiewiczowi, w Limanowej Władysławowi Przeworskiemu; ekspedyentów pocztowych: w Bilczu złotem Aleksandrowi Hołubowiczowi, w Wybranówce Janowi Burzyńskiemu, w Iławczu Pawłowi Gärtlerowi de Blumenfeld, w Domaradzu Maryanowi Wojciechowskiemu, w Żegiestowie zdroju Juliuszowi Kryniczkiemu, w Wiśniowej koło Dobczyc Maryi Zadurowicz, w Olpinach Waleryi Porębowicz, w Stratynie Bronisławowi Zasławskiemu, w Nowem Siole koło Stryja Helenie Matkowskiej, w Lipnicy wielkiej Weronice Spiegel, w Korzennej Etti Dukatenzeiler, w Woli Justowskiej Helenie Lachównej, w Mrzygłodzie Antoniemu Błaszczakowi, w Wadowicach górnych Janowi Oskarowi Passendorferowi, w Siedlcu Oldze Dąbrowskiej, w Bogdanówce Antoninie Hofsass, w Bobrówce Wacławowi Rzicha, w Pohorcach koło Rudek Jadwidze Bienieckiej, w Nahaczowie Maryi Chodorowskiej, w Prądniku białym Alfredowi Hendrychowi, w Szczepanowie Waleryi Tatomir, w Łukowicy Bogdanowi Stahlbergerowi, — wreszcie posadę stajniczego pocztowego w Lukli Augustowi hr. Łosiowi.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada m. Maryampola p. Stanisławowi Brykczyńskiemu, marszałkowi pow. stanisławowskiego.

Rada miasta Sambora, oddając hołd zasługom p. Wilhelma Kreutza, komisarza powiatowego, który po 22-letnim pobycie opuścił Sambor, przeniesiony do służby w Namiestnictwie, nadała mu honorowe obywatelstwo.

Konkursa. W Politechnice lwowskiej jest do obsadzenia posada asystenta przy katedrze robót wodnych. Podania należy wnieść do końca lipca rb.

Uroczyste poświęcenie kaplicy w Brzuchowicach odbędzie się dnia 16 bm. o godzinie 10-tej przed południem.

Śluby. W Husiatynie odbył się w sobotę ślub panny Michaliny Grodeckiej z p. Janem Sas Komarnickim, asystentem pocztowym z Wadowic.

Wczoraj, w kościele OO. Jezuitów na Wesołej w Krakowie, odbył się ślub panny Maryi Żurowskiej z Podola, córki Eugeniusza i Cecylii ze Stąpkowskich Żurowskich, siostry hr. Ant. Wodzickiej, z ks. Aleksandrem Lubeckim.

W mieście naszem bawi ksiądz Mikołaj Cadi, gr. kat. arcybiskup z Bostry i Hauranu, w Syryi. Brał on udział w wiecu katolickim w Krakowie i onegdaj przyjechał do Lwowa z ks. metropolitą Sembratowiczem.

Z lwowskiej Izby handlowej. Na wczorajszem posiedzeniu Izby delegatami na XXI międzynarodowy targ zbożowy w Wiedniu wybrano pp.: Maurycego Jonasza i Salamona Bubera. Do kuratoryi fundacyi dobroczynnej śp. Roberta Domsa wybrano pp.: Kiselkę, St. Szczepanowskiego, Roberta Kleins, Karola Szeyera, Jana Schultza, Władysława Gubrynowicza, Juliusza Ilt.ssa i Arnolda Wernera. Do ankiety, zapowiedzianej przez ministerstwo handlu w sprawie industryi młynarskiej, wybrano pp.: Leona Thoma, zaś do rady nadzorczej miejskiego muzeum przemysłowego we Lwowie p. Władysława Gubrynowicza.

W końcu nastąpił wybór dwóch członków i dwóch zastępców do państwowej rady kolejowej. Członkami wybrani zostali panowie: Maks. Epstein i Ignacy Russman; jako zastępcy pp.: M. Michalski i Ciuchciński.

Na posiedzeniu tajnem posadę sekretarza Izby nadano dotychczasowemu wice-sekretarzowi p. Józefowi Veltzemu, wice-sekretarzem zaś mianowano p. Stanowskiego.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. dyecezya stanisławowska. Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Antoni Zawadzki na Mykietyńce, w dekan. pistyńskim i Jan Hoszowatiuk na Rożen wielki, w dek. kosowskim.

Rozdział zapomóg. Wydział krajowy na wczorajszem posiedzeniu wspólnie z delegatami Namiestnictwa rozdał 26 200 złr. jako bezzwrotne zapomogi dwunastu powiatom nawiedzionym klęską powodzi. Z sumy tej udzielono: powiatowi bohorodczańskiemu 1000 złr., buczackiemu 2000, dolińskiemu 2500, drohobyckiemu 1000, kałuskiemu 3000, rohatyńskiemu 3000, rudeckiemu 2500, stanisławowskiemu 4000, stryjskiemu 2000, tarnowskiemu 600, tłumackiemu 4000 i żydaczowskiemu 600 złr.

Wystawa krajowa we Lwowie w r. 1894. Ruska „Narodna Rada" wydała odezwę podpisaną przez posła J. Romańczuka i dra Konstantego Lewickiego, w której wzywa wszystkich Rusinów, aby wzięli liczny udział w przyszłorocznej wystawie krajowej.

Muzyka wojskowa 55 pp. grać będzie jutro na Wysokim Zamku. Początek produkcyi o godzinie pół do 7-mej.

Z Przemyśla donoszą, iż między żołnierzami 10go pułku piechoty stojącymi załogą w barakach przy trakcie dobromilskim, pojawił się nagminnie szkorbut. Władze wojskowe zarządziły energiczne środki ochronne.

Dyrekcya pięcio-klasowej szkoły dla dzieci urzędników, służby i robotników kolei państwowych we Lwowie wydała sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że w drugiem półroczu 1893 uczęszczało do tej szkoły 167 uczniów i uczenic, a mianowicie: 92 chłopców i 75 uczenic. Postęp w naukach był ogółem wziąwszy dość pomyślny, bo tylko 20 dzieci reprobowano do egzaminu poprawczego.

Zamach na Pobiedonoscewa. W uzupełnieniu depeszy o zamachu na Pobiedonoscewa podajemy za *Now. Wremia* następujące szczegóły: Dnia 3-go czerwca o godzinie 4-tej po południu do pomieszkania nadprokuratora synodu Pobiedonoscewa, mieszkającego w Carskiem Siole, w jednym z domów pałacowych, przyszedł nieznany człowiek, skromnie ubrany, wyglądający chorowicie, na kulach, i żądał, aby mógł się natychmiast zobaczyć z nadprokuratorem w sprawie nadzwyczajnej. Lokaj z początku oświadczył, że w willi nadprokurator nie przyjmuje żadnych petentów, a jeżeli nieznajomy ma prośbę, w takim razie niech się zgłosi do mieszkania w Petersburgu; lecz pod wpływem nalegań zgodził się zaanonsować przybyłego. Skoro tylko Pobiedonoscew wyszedł i zapytał nieznajomego, czego sobie życzy, ten nagle wyjął z kieszeni nóż składany i zamierzył się na nadprokuratora, lecz na szczęście stojący przy drzwiach kamerdyner, spostrzegłszy ruch, szybko uchwycił nieznajomego za ręce, a następnie zamknął go w pokoju, z którego tylko co wyszedł Pobiedonoscew. Natychmiast przybyła policya; przestępca zachowywał zimną krew, złożył nóż i nie stawiał żadnego oporu. Z początku mówił, że wypadkiem wyjął nóż razem z chustką do nosa, że to tylko się zdawało, jakoby się zamierzał, następnie oświadczył, że chciał tylko postraszyć. Niezwłocznie o wypadku dano znać do Petersburga i do Carskiego Sioła; przybył prokurator sądu okręgowego, oraz sędzia śledczy do spraw szczególnej ważności. Sprawca zamachu pozostaje w domu policyjnym w Carskiem Siole. Jest to młody człowiek, lat 25, nazywa się Hijacyntow, wychowywał się w seminaryum i wyszedł z 5 klasy. Od marca r. b. do 1 lipca pozostawał w klinice chirurgicznej, lecząc się na chorobę nóg. Władze sądowe zjechały do Carskiego Sioła w celu badania przestępcy.

Podział administracyjny Królestwa Polskiego. *Kraj* petersburski donosi: Komisya utworzona przy jenerał-gubernatorze warszawskim, zaprojektowała zmiany następujące w podziale administracyjnym Królestwa: 1) gubernię łomżyńską znieść, powiat jej szczuczyński wcielić do gubernii augustowskiej, powiaty pułtuski i makowski — do gubernii warszawskiej, powiaty: ostrołęcki, łomżyński, mazowiecki i ostrowski — do gubernii siedleckiej; za miasto gubernialne gubernii kaliskiej obrać Łódź, wcielając powiat łódzki do gubernii kaliskiej; 2) powiaty: nieszawski, włocławski, kutnowski i gostyński gubernii warszawskiej wcielić do sąsiednich gubernii.

Krajowy zarząd sprzedaży soli. Wydział krajowy poruczył dodatkowo zastępstwo sprzedaży soli: w powiecie brodzkim wydziałowi powiatowemu, w powiecie skałackim wydziałowi powiatowemu, w powiecie złoczowskim: w składzie głównym w Białym Kamieniu p. Jaworskiemu, w Gołogórach Kółku rolniczemu, w Krasnem p. Gnoińskiemu, w Olesku p. Kornbergerowi, w Pomorzanach p. Soroce, w Jeziernie p. Sykorze, w Zborowie Kółku rolniczemu i w Złoczowie wydziałowi powiatowemu.

Schroniska dla nałogowych pijaków. Dzienniki wiedeńskie donoszą, iż rząd zajęty jest teraz wypracowaniem projektu ustawy o urządzeniu schronisk dla nałogowych pijaków. Sejmy Dolnej Austryi i Morawy wypowiedziały gorące życzenie powołania do życia podobnych zakładów, a obecnie idzie o uregulowanie w drodze ustawodawstwa państwowego warunków, pod jakimi możnaby w tych schroniskach zatrzymywać osoby dotknięte nałogiem pijaństwa.

Nieludzki postępek. Pewien aferzysta, niestety chrześcijanin, nabył majątek ziemski mocno nadszargany, aby przyprowadziwszy go do porządku, wydzierżawić na korzystnych warunkach. W tym celu telegraficznie wezwał do siebie jednego z oficyalistów prywatnych, mającego gdzieindziej posadę, i przyrzekłszy mu świetne warunki, przyjął go do służby, nie wspominając nic o tem, że już z góry ułożył sobie plan wydzierżawienia majątku w jak najkrótszym czasie. W przeciągu roku ów rządzca istotnie uporządkował majątek, zaprowadził ład i wzorową gospodarkę, gdy nagle chlebodawca oświadczył mu, że rola jego jest skończona, gdyż majątek przechodzi w dzierżawę. Można sobie wyobrazić zawód biednego człowieka, który porzucił dawną stałą posadę dla złudnych korzyści na nowej. Nie na tem jednak koniec. Pan ów nie zapłacił oficyaliście półrocznej pensyi, ani nawet 50-cio reńskowego wydatku na robociznę, wyłożonego przez rządzcę z własnej kieszeni, — oddawszy żydowi majątek wyjechał za granicę, zostawiając biedaka pokrzywdzonego i nie wiedzącego do kogo udać się o pomoc i ratunek. Czyż to jest po ludzku?

Aferzysta ten widocznie liczy na bezkarność, bo wie, że biedakowi trudno prowadzić długi proces cywilny. Ale wypadek ten szeroko jest znany w okolicy, w której się stał. Tamtejsza opinia powinna tym razem głos zabrać, bo to nietylko jest czyn brzydki i społecznie szkodliwy, ale nadto obraża on naszych ziemian, gdyż do nich ten aferzysta chce się zaliczać, bo jest przecież „właścicielem dóbr!"

Zmiany w gremium nauczycielskiem szkół średnich w Galicyi.

Przeniesieni: rzeczywisty nauczyciel Franciszek Chowaniec z Jarosławia do Brodów, prof. Andrzej Czyczkiewicz z Brodów do ruskiego oddziału gimnazyum w Przemyślu, prof. Andrzej Gąsiorowski z Rzeszowa do gimn. św. Anny w Krakowie, prof. Ignacy Kościński z Przemyśla i Antoni Lisoń ze Stryja obaj do gimnazyum w Podgórzu, Jan Matyjów z tarnopolskiego seminaryum nauczycielskiego do gimnazyum akademickiego we Lwowie, Mikołaj Mazanowski z Bochni do gimnazyum św. Jacka w Krakowie, katecheta ks. Franciszek Świderski z gimnazyum w Wadowicach do szkoły realnej w Krakowie.

Rzeczywistymi nauczycielami mianowani: prowizoryczny nauczyciel Adolf Gawalewicz do gimn. w Tarnopolu i suplenci: Jan Bartunek w Tarnowie do gimn. w Rzeszowie, Ferdynand Bostel we Lwowie do gimn. w Brodach, Jan Chmiołek do gimn. w Drohobyczu, Stanisław Daniec w Tarnowie do gimn. w Tarnopolu, Julian Dobrzański do Tarnopola, Kajetan Godfrejów w Brzeżanach do Buczacza, Hilary Hołubowicz w Stanisławowie do szkoły realn. w Krakowie, Franciszek Janelli do lwowskiej szkoły realnej, ks. Zygmunt Karaś z Krakowa katechetą w gimn. w Wadowicach, Jul. Kobylański w Czerniowcach do gimn. w Kołomyi, Franciszek Konarski do gimn. akademickiego we Lwowie, Jan Kossowicz dla gimn. w Przemyślu, Wilhelm Kuczera we Lwowie do Brodów, Celestyn Lachowski w Złoczowie do gimn. w Jaśle, Michał Ładyżyński w Sanoku do gimn. w Buczaczu, Artur Passendorfer w Bochni do Jarosławia, Emil Pelikan w Brodach do Buczacza, Józef Sanojca we Lwowie do gimn. w Rzeszowie, Wiktor Schmidt we Lwowie do gimn. w Bochni, Tomasz Szafran w Krakowie do gim. w Brzeżanach, Józef Szydłowski ze szkoły realnej lwowskiej do gimn. w Jarosławiu i Franciszek Tondera z krakowskiej szkoły realnej do gimn. w Sanisławowie.

Życie po śmierci. Sensacyjne odkrycie zrobił docent w paryskiem „Collége de France" d'Argonval. Wynalazł on instrument, przy pomocy którego stwierdził, że muszkuły i nerwy w ciele ludzkiem długo jeszcze po śmierci człowieka zachowują czucie. Instrument ten, nazwany przez wynalazcę „myophonem", pozwala bardzo dokładnie słyszeć lekki szmer w muszkułach nieboszczyka. Jestto prawdopodobnie ściąganie się i kurczenie włókienek muszkułów. Zjawisko to występuje jeszcze w kilka tygodni po śmierci. Czułość nerwów nie trwa tak długo, zazwyczaj po 10 do 20 godzinach ustaje zupełnie. Dzięki odkryciu dr. Argonvala kwestya kary śmierci wejdzie prawdopodobnie znowu na porządek dzienny we Francyi. Możliwość, że w mózgu straconego człowieka długo pozostaje bodaj cząstka świadomości, jest tak okropną, iż ona sama może wpłynąć na zniesienie kary śmierci.

Ze wspomnień Hanslicka. Od pewnego czasu miesięcznik *Deutsche Rundschau* pomieszcza autobiografię Edwarda Hanslicka, króla krytyki muzycznej w Niemczech, a wytrawnego przytem pisarza. Pamiętnik początkiem sięga w młodociane lata autora, spędzone w Czechach, aż po r. 1852-gi, gdy osobiście poznał Schumanna, Wagnera, Berlioza i wielu innych mniej więcej głośnych kompozytorów i wykonawców. Barwnem piórem kreśli Hanslick sylwetki wymienionych powyżej muzyków, szeregiem charakterystycznych anegdot urozmaicając treść wspomnień swoich.

Berlioza Hanslick poznał w r. 1846-ym. Podówczas współpracownikiem był jednego z przeglądów praskich. Berlioz przybył do stolicy Czech dla dania w niej seryi koncertów. Znano go już w Niemczech z feljetonów Henryka Heinego i artykułów, drukowanych w *Przeglądzie muzycznym* lipskim. „Jeden z przyjaciół moich — opowiada Hanslick — i ja co dnia odwiedzaliśmy Berlioza w hotelu pod „Gwiazdą niebieską", zkąd razem udawaliśmy się na próby... Służyłem za tłumacza, Berlioz bowiem ani słówka nie umiał po niemiecku, a język francuski niebardzo był w użyciu wśród świata muzycznego Pragi.

Berliozowi towarzyszyła piękna Hiszpanka, o oczach płomiennych, Mariquita Kisio, którą podawał za żonę swoją... Człowiek o grzywie lwa i spojrzeniu orła uległ jako dziecko urodziwej towarzyszce.

Pomimo całego poważania naszego dla Berlioza uśmiechaliśmy się, ilekroć odbierał krótkie a zwięzłe rozkazy: „Hektorze, a gdzie moja mantyla ?!... Hektorze, a moje rękawiczki?!" Umiał jednak postawić na swojem, zwłaszcza gdy chodziło o muzykę, i tak pewnego razu, gdy mimo kilku nieudanych prób Mariquita uparła się koniecznie w jednym z jego koncertów wystąpić ze śpiewem, odmówił jej stanowczo i nie dopuścił do występu."

Przytacza dalej Hanslick *bon mot* Berlioza z okazyi odegranej w Pradze „Symfonii fantastycznej". Krytyk nie był na koncercie, zmuszony był bowiem dnia tego wyjechać do Wiednia; za powrotem przywitał go Berlioz słowami:

— Henryk IV-ty pisał: „Powieś się, Crillon'ie; zwyciężyliśmy pod Arques, a ciebie tam nie było!"

O pierwszem widzeniu się swojem z Schumannem opowiada Hanslick: — „Jakże mi serce biło, gdym u drzwi jego dzwonił... Schumann podniósł się zwolna od fortepianu; leżały przed nim otwarte chorały Bacha; podał mi rękę serdecznie. Zagaiwszy rozmowę, czekałem odpowiedzi... Po chwili Schumann zawołał:

— Jaka szkoda, że nie przyszedł pan do mnie kilka dni wcześniej; bawił tu Mendelssohn i właśnie wyjechał do Anglii...

„I znowu długie milczenie... Po kilku nieudanych próbach wciągnięcia go w rozmowę, podniosłem się z zamiarem pożegnania go... Zatrzymał mnie, kładąc mi rękę na ramieniu...

— Muszę pana przecież — rzekł — przedstawić Klarze — i otworzył drzwi wołając:

— Klaro! jest tu u mnie pan Hanslick z Pragi (scena odbywała się w Dreznie), trzeba, żebyś mu co zagrała.

Nazajutrz miano dawać „Tannhäusera"; zapytałem Schumanna, czy widuje Wagnera.

— Nie — odparł — Wagner niemożliwym jest dla mnie. Bezsprzecznie człowiek to rozumny, ale zwyczaj ma mówić nieustannie. Nie wypada przecie być tak gadatliwym.

Ale oto, co zabawniejsze: gdy kilka dni później zadałem Wagnerowi to samo pytanie co do Schumanna, muzyk przyszłości odparł:

— Tak, w dobrych jesteśmy bardzo stosunkach, ale niepodobna widywać się z nim; to człowiek niemożliwy, wiecznie milczy.

„Po odbyciu podróży do Paryża odwiedziłem Schumanna i opowiadałem mu mnóstwo ciekawych rzeczy o Operze francuskiej, koncertach, kompozytorach i t. p. Schumann przez cały czas spoglądał bezmyślnie to na mnie, to gdzieś w górę, milcząc jak ryba... Widząc to, zerwałem się z miejsca i poprostu uciekłem."

Koński przyjaciel.

(Dokończenie).

Tę epokę życia końskiego przyjaciela można nazwać śmiało najszczęśliwszą. Pan pozostawił mu wszelką swobodę działania, a Bartosz, korzystając z zupełnego zaufania pana, rządził stadniną, jak udzielny książę księstwem. Parował konie według upodobania, przeznaczał do zaprzęgu i pod wierzch, a pan nie sprzeciwiał się nigdy. Doszło wreszcie do tego, że na żądanie a względnie prośby i przedstawienia Bartosza gotów był dać łaskawy chleb emerytom, niezdolnym do dalszej służby.

Lecz niestety! co dobre, prędko przemija; tak się też stało i z dobrym starym panem, który pewnego smutnego dnia umarł nagle, zostawiwszy dziedzictwo jedynemu synowi. Bartosz przewidywał zapewne, że teraz jego rządy również się skończyły, bo wracając z pogrzebu „dobrego paniska", bezustannie ocierał oczy rękawem, wzdychał ciężko, a na młodego pana spozierał bardzo niedowierzająco.

Rezultatem tych obserwacyi bartoszowych była półgłosem wypowiedziana uwaga:

— Ta on na nieboscyka podobny, z ocu mu nieźle patsy... jeno, jakto nieboscyk mawiał, ciągle chce coś nowego taj nowego.

Jakoż istotnie, młody dziedzic pragnął nowości, jak zepsute dziecko, które co raz to nowej pragnie zabawki. Pragnął nowości, jako pełen życia i fantazyi młodzieniec, który czuł w sobie siłę, energię i zdolność do zburzenia wszystkiego, co mu w drodze stanie; pragnął czynu, czynu za jakąbądź cenę! Nie mając zaś pola do popisu, a względnie nie umiejąc stworzyć sobie idei godnej jego zapału, z nudów prawie rzucił się do burzenia z gruntu swojej ojcowizny.

Nastąpiła tedy epoka odrodzenia. Stare meble i sprzęty zastąpiono nowymi; skromny dworek ustąpił miejsca pałacowi; stare lipy, rosnące sporadycznie, wycięto dla zrobienia alei; wreszcie przyszła kolej na konie. Tu jednak natrafił młody pan na opór, którego się spodziewał a zarazem bagatelizował. Przywoławszy więc Bartosza, rzekł krótko:

— Oczyścisz porządnie gniadosze, jutro pójdą na sprzedaż.

Gdyby w tej chwili padł grom z jasnego nieba, nie przeraziłby bardziej biednego Bartosza. Nie zmartwiłby się tak również, gdyby nagle zabrakło tabaki na całej kuli ziemskiej. Stanął jak wryty, przerażone oczy wlepił w „panicza", a uchem łowił ostatnie dźwięki bolesnej dyspozycyi. Doznawał takiego właśnie uczucia, jakiego doznaje czuła matka, tracąc ukochane dziecię. On bowiem własną ręką gniadosze wykarmił, wychował, wypieścił, wyuczył. Nimi woził on bywało najczęściej starego pana, a nawet jeszcze — świeć Panie nad jej duszą! — anielską nieboszczkę. A jakto one bywało wiedziały, kiedy panią wiozły! Szły, jak gdyby woda płynęła. One to wraz z Bartoszem odwiozły ukochaną panią do bramy cmentarnej i tę samą usługę oddały dobremu panu, spełniając ostatnią jego wolę. Te wszystkie koleje wraz z gniadoszami przebywał i Bartosz, więc tracąc gniadosze, tracił niejako część życia. Stary sługa bowiem, jak wszyscy starzy ludzie, żył przeszłością, a ta ściśle łączyła się z przeszłością gniadoszów. Jeżeli człowiek przywiązuje się często do rzeczy martwej, to cóż dziwnego, że Bartosz przywiązał się do istot rozumnych, prawie myślących?

Ochłonąwszy więc z pierwszego wrażenia, postanowił ocalić gniadosze i, jak zwykle w takich wypadkach, użył małomowny Bartosz swej wymowy.

Zbliżył się do młodego pana w postaci pokornej, w pół zgiętej, ale z oczyma wzniesionemi błagalnie i zapytał:

— Dlacego wielmozny pon te biedne śkapiny sprzedaje?

— Dlatego właśnie, że „szkapiny", jeżeli chcesz wiedzieć.

Bartosz zaczął błagać:

— Niachze wielmozny pan się zmiłują nad biednemi zwierzętami! Jak do powozu nie pasują, to do roboty akurat dobre, więcej zrobią nizeli młode, bo znają różną biedę. Ot, prosę wielmoznego pana: gdzie się minęło mięso, niech się miną i kości, a mnie nie bedzie zal. Nieboscyk pon bardzo lubił gniadose i mówił bywało, ze bedzie trzymoł je do śmierci. Ne i przed swoją śmiercią zawołoł mnie nieboscyk pon i nakazał: „Pamiętaj Bartosu, jak umrę, to niech mnie gniadose zawiozą na cmentarz!"

Te słowa, wymówione ze wzruszeniem przez starego sługę, wzruszyły również młodego pana. Chcąc tedy uczucie opanować, rzekł opryskliwie:

— Ej, co mi tam o żalu pleciesz! Dla twego głupiego żalu, ja mam stare szkapy trzymać, aby darmo żarły! Trzeba być praktycznym. Zresztą — dodał po chwili — nie twoją rzeczą rozumować, rób raczej, co ci się każe.

Wówczas Bartosz wymówił z rozpaczą:

— Nie ma moich gniadosów, to i mnie nie ma. No, dziękuję wielmożnemu panu za służbę. Pójdę ja też sukać miejsca na stare kościska. Coby się wielmozny pan za mnie nie turbowali jak za te śkapiny.

Młody pan podrażniony tym niespodzianym a niemiłym obrotem sprawy, rzekł popędliwie:

— Dobrze, dziś jeszcze odejdziesz. Nie lubię dziwaków.

Żal mu było wprawdzie tego starego poczciwca, ale chciał być konsekwentnym, a z drugiej znów strony był kontent, że już nie będzie potrzebował krępować się uciążliwymi względami dla starego sługi.

Młody pan chciał być zupełnie swobodnym w działaniu, a tu zdawało mu się, że oczy starego Bartosza, które tak długo patrzyły na dzieła jego ojca, krytykują niemo gorączkową gospodarkę syna. To paraliżowało jego plany, a tem samem sprowadzało dysharmonię w stosunku jego do starego sługi. Gdyby wszakże był znał lepiej Bartosza, wiedziałby, że starego stajennego obchodziły tylko konie, cały świat zresztą był mu obcy i obojętny.

Podziękowawszy za służbę, poszedł biedny ten człowiek do stajni, aby spakować swoje „biedactwo", pożegnać się z końmi, najlepszymi przyjaciółmi i szukać na starość nowej służby u dobrych ludzi. Lecz gdy do stajni przyszedł i popatrzył może po raz ostatni na swe „dzieci", na ten kącik, który od tylu lat był dla niego najlepszem mieszkaniem — tak ciężki smutek opanował jego duszę, iż prawie go ubezwładnił.

Biedny Bartosz zataczał się jak człowiek pijany lub chory, nie wiedział, czy zmoże zebrać swoje rzeczy, oddać stajnię w porządku i czy wywlecze się za bramę dworu. Łkając, dorzucał „dzieciom" siana i wśród łez przemawiał:

— Jesce dzisiok źryjcie z mojej ręki.... na pozegnanie...

A gdy „dzieci" zwróciły ku niemu swe wymowne, rozumne oczy, to biedny Bartosz odwracał się i uciekał w przeciwny kąt stajni, zanosząc się od płaczu. Zdawało mu się, że w tym wzroku widział tyle żalu, tyle smutku...

Takiemi myślami zajęty, zaczął powoli ściągać swe „biedactwo" i nie zważał wcale na kilkakrotne wołanie pokojowca, by szedł do pana po swoją zasługę. Ta ostatnia zresztą była mu na razie nadto obojętną, by o niej pomyślał. To też pan, zniecierpliwiony długiem czekaniem, a chcąc też niejako w dobry sposób rozstać się ze starym sługą, zabrał pieniądze dla niego odliczone i skierował się ku stajni, by je Bartoszowi wręczyć.

Zbliżywszy się do stajni, posłyszał dziwne jakieś końskie chrapanie i parskanie zmięszane z ludzkim płaczem, podobnym do wycia. Zaciekawiony niezmiernie, podszedł do otwartego okna w stajni i zobaczył scenę, która go poruszyła do głębi.

Stary Bartosz obejmywał łby gniadoszów, całował je i głośno płacząc, mówił:

— Bądźcie zdrowi przyjaciele! Pójdziecie wy w niewolę, to pójdę i ja. Myślałem, ze będziem razem do śmierci, ale nie ma juz starego pona, a młody nie ma serca ani la was, ani la mnie. Tera pójdziecie do zydów na męki... Oj, jakze mi na sercu ciężko! Taj ja was tak pielęgnował od maleńkości! Taj ja was tak wyucył!

Młody pan odwrócił głowę... a dwie łzy ciężkie zwisły na rzęsach i potoczyły się po pięknej jego twarzy. Tymczasem zbliżył się do drzwi stajennych, z których właśnie wybiegł Bartosz z tłumokiem.

Biedny człowiek otarł też rękawem resztki łez, które chciał ukryć przed nieludzkim i bez serca paniczem.

Lecz pan zatrzymał go i rzekł głosem pełnym wzruszenia:

— Ja ciebie nie puszczę mój Bartoszu, ani gniadoszów nie sprzedam. Zostaniecie u mnie do śmierci.

Błyszczące w oczach starca łzy smutku, spłynęły po sumiastym jego wąsie jako łzy radości, a pierwszem słowem wdzięczności był wykrzyk Bartosza:

— O, ja zawdy gadoł, co na nieboscyka podobny i co mu z ocu nieźle patsy!

Grzegorz Klimkowski.

Z Wagnerem poznał się Hanslick po raz pierwszy w Marienbadzie r. 1845-go. Później odwiedzał go w Dreznie. Wagner podówczas ani bogiem nie był, ani półbogiem nawet. Oto wspomnienie jednej z tych wizyt: „Na chwilę weszła do pokoju żona jego (aktorka Mina Plauer), piękna bardzo osoba. Gdy nas opuściła, nie umiałem powstrzymać się od wyrażenia zachwytu.

— O! — rzekł Wagner — zmieniła się obecnie do niepoznania. Trzeba ją było panu widzieć lat temu kilka! Biedaczka niemało nacierpiała się ze mną. W Paryżu żyliśmy w nędzy. Gdyby nie pomoc Meyerbeera, bylibyśmy z głodu pomarli.

Słowa Wagnera co chwila przygłusza nieznośny krzyk papugi.

— Jak może pan znosić hałas ten? — zapytałem.

— O! — odparł, śmiejąc się Wagner — przywykłem już do niego; to bardzo miłe stworzenie, wożę je ze sobą wszędzie. Czasem, co prawda, wrzeszczy nieznośnie, no, ale za to *mam żonę, która nie grywa na fortepianie*."

Brak siana grozi wszystkim ziemiom polskim. Na Litwie i Wołyniu od siedmiu tygodni bez przerwy leją deszcze większe niż u nas. W skutek tego trawa na suchych łąkach zaczęła gnić, a w niektórych okolicach zupełnie przepadła. W Kongresówce, jak u nas, siano gnije na pokosach, a konicze w kopicach grzeją się i dymią. W Wielkopolsce znów był wielki brak deszczów, w skutek czego trawa zeschła. Rozesłany kwestyonaryusz do 33 rolniczych obwodów w Poznańskiem skonstatował, że w 12-tu obwodach paszy całkiem nie będzie, w 13-tu zaledwo połowa normalnej ilości, a w 8-miu jest nadzieja, że po teraźniejszych deszczach łąki zazielenieją. W całej Polsce rolnicy liczą już tylko na otawę.

Samobójstwo. Z Brodów donoszą: Tymi dniami znaleziono w lasach p. Schnella zwłoki strażnika skarbowego Figury, który jeszcze przed 3-ma miesiącami miał się zastrzelić. Poznano go tylko po mundu ze i czapce. Samobójstwo popełnił zapewne w przystępie melancholii.

Zmarli. Franciszek Hochman, Czech, naczelnik „Sokoła" w Zagrzebiu i redaktor czasopisma *Gimnastika,* były naczelnik lwowskiego „Sokoła" w latach 1873—1875, umarł w 43 r. życia.

Stan powietrza. Termometr + 17 Reaumura o godzinie 7 zrana, w południe + 20 stopni Reaum. Barometr 762. Podnosi się. Dzień piękny, pogodny i ciepły.

Obiecująca Kasia. Pani godzi Kasię, przybyłą świeżo ze wsi:

— A umiesz prasować?
— Niebardzo, proszę pani, ale się.. nauczę.
— A gotować umiesz?
— Niebardzo, proszę pani, ale się... nauczę.
— A narzeczonego przyjmujesz w kuchni?
— Niebardzo, proszę pani, ale się... nauczę.

Teatr. Dziś we wtorek (11 bm.) w teatrze letnim: „Sapho", sztuka w 5 aktach przez Alfonsa Daudeta i A. Bellot'a. Występ gościnny panny Heleny Marcello. — Jutro we środę „Sapho".

Literatura i Sztuka.

* **Nowa biblioteka uniwersalna** w zeszycie za lipiec wydanym zawiera: Dokończenie „Obrazów z życia" przez A. M. L.; dalszy ciąg studyum W. Gostkowskiego o „Panu Tadeuszu" i dokończenie powieści „Misyonarze świętej Rosyi".

* **„Ekonomisty polskiego"**, opuścił prasę zeszyt za czerwiec i zawiera; Zjazd prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu, przez St. Okszę; Polska na Zachodzie w świetle cyfr; Rzut oka na gospodarstwa wiejskie w Galicyi; Sprawozdanie inspektorów przemysłowych za rok 1892; Powszechna wystawa krajowa we Lwowie w roku 1894; Kronika *Ekonomisty polskiego.*

Rozmaitości.

Pijacy W wiekach średnich ogromną popularnością cieszył się zbiór wierszy, zawierający w sobie ulubione śpiewki studentów „Carmina clericorum". W lichym języku łacińskim tych śpiewek odmalowany jest doskonale obraz ówczesnego pijaństwa powszechnego, w którem nie stanowiły wyjątku ani płeć, ani wiek, ani stanowisko społeczne.

Oto jedna z nich:

Bibit pauper et aegrotus,
Bibit exul et ignotus,
Bibit puer, bibit canus,
Bibit praesul et decanus,
Bibit soror, bibit frater,
Bibit anus, bibit mater,
Bibit iste, bibit ille,
Bibunt centum, bibunt mille.

(Pije ubogi i chory, pije wygnaniec i prostak, pije chłopak i starzec, pije przełożony i dziekan, pije siostra i brat, pije baba, pije matka, pije ten, pije ów, piją setki, piją tysiące).

Lecz okazuje się, że teraz nietylko *bibunt centum, bibunt mille*, lecz piją miliony, nawet dziesiątki milionów. Oto dowód. Angielski dziennik *The Daily Graphic* mówi, że według urzędowych danych statystycznych, w Wielkiej Brytanii wypito w r. 189. 14,855.733 galonów wina, 3 420,553 gal. wódek zagranicznych (foreign spirits), 30,744 209 galonów wódek brytańskich (british spirits) i 140,021.648 galonów piwa. Razem tedy wypito na sumę 141,220.675 funtów szterl., co stanowi 3 funty 15 szyl. (t. j. 37 zł. według kursu) na jednego człowieka. A teraz proszę zrobić mały rachunek: 1 galon równa się prawie $1^1/_2$ garnca, to znaczy, że Wielka Brytania wypija co roku 1,592.056.217 garncy napojów spirytusowych. Stanowi to taką ilość płynu, że możnaby nim napełnić kanał, mający 1 sążeń głębokości, 3 sążnie szerokości i 300 kilometrów długości!

— **Pogadanka o ołówku.** Ołówek ma w dziejach rysunku to samo znaczenie, co pióro w dziejach piśmiennictwa. Dla czego jednak ołówek lubo nie jest robiony z ołowiu nazywa się ołówkiem? Dlatego, że Rzymianie używali ołówek do robienia zrazu krążków, służących do linjowania pergaminu, a potem zaczęli wyrabiać ołowiane patyczki do rysowania. Jednakże patyczków tych mało używano.

Z dzieła o sztuce rysowania Albrechta Dürera, jednego z najsłynniejszych malarzy Niemiec, dowiadujemy się o słabem jeszcze za jego czasów zastosowaniu ołówka. Dowodzą tego rysunki i drzeworyty Durera, wykonywane jedynie piórem, oraz portrety wystawiające tego artystę zawsze z piórem w ręku. Nie idzie za tem, aby nie znano i nie ceniono użytku ołowiu dla sztuki rysowniczej. Malarze włoscy, oraz niemieccy używali ołówków, wyrabianych z aliażu w stosunku 2 części ołowiu i 1 części cyny, które w Niemczech przezwano „Wasserblei", „Reissblei", „Schreibblei". Znacznie później dopiero zaczęto wyrabiać ołówki z grafitu, który z powodu jego barwy szarej, połysku, oraz własności robienia kresek na papierze, długo bardzo uważano jeśli nie za czysty ołów, to przynajmniej za substancyę zmieszaną z ołowiem. Ów mylny sąd o graficie utrzymał się do XVII wieku. Włosi wspominają o nim jako o „ołowiu rysunkowym" pierwszy raz dopiero około r. 1595. Wcześniej jednak spotykamy u pisarzów wzmiankę o wyrabianiu ołówków między latami 1540—1560, wkrótce po odkryciu wielkiej kopalni grafitu w hrabstwie Cumberland w Anglii. Pisarze ci nazywają wydobywany w kopalni kruszec — ołówkiem wodnym lub rysunkowym. Grafitem nazwał go dopiero w początkach naszego stulecia Abraham Werner, wielce zasłużony mineralog niemiecki. Nawet w ówczas, gdy wyróżniono metal ten od ołowiu i ochrzczono osobnem mianem, nie znano jego składu chemicznego, z powodu nizkiego stopnia rozwoju chemii. Zwolna nauka przyszła nam w pomoc, że grafit jest to węgiel, zawierający obce domieszki.

Już w wieku XVI rozpowszechniać się zaczęły ołówki we Włoszech: robiono tam z grafitu cienkie sztabki, które oprawiano w cynę lub drzewo. Za przykładem Włochów poszli Niemcy; pod koniec wieku XVI zrobiono ołówki takie po raz pierwszy w Norymberdze. Materyału do owych wyrobów dostarczała wymieniona już najstarsza kopalnia w Cumberland.

Ołówki cumberlandzkie sporządzano sposobem bardzo prostym: Z brył grafitu, rozcinanych na części, wypiłowywano cienkie sztabki i oprawiano je w drzewo. Przeszło 100 lat nie postąpiono ani kroku naprzód w tym kierunku, nawet wówczas, gdy odkryto kopalnie w Hiszpanii, Czechach, Styryi. Na większą skalę rozwinęła się fabrykacya ołówków z początkiem XVIII wieku w Bawaryi. Stamtąd w roku 1726 sprowadził król Fryderyk Wilhelm do Berlina majstra nazwiskiem Schmidt, celem rozwoju nowej gałęzi przemysłu. Schmidt, opisując sposób robienia ołówków w Niemczech (z „wodnego ołowiu" czyli „Wasserblei" i siarki), utrzymuje, iż są one znacznie gorsze od angielskich, gdyż pręciki, wycinane nie z bryły, lecz z przyrządzonej na ten cel stwardniałej masy, łatwo łamią się i kruszą przy temperowaniu. Sama cena — 8 groszy za tuzin świadczy o lichym gatunku owych ołówków niemieckich fabryk. Rzeczą najtrudniejszą przy wyrobie ołówków było wynalezienie substancyi spajającej ściśle cząstki sproszkowanego grafitu; próby użycia na ten cel gumy arabskiej, kauczuku, szelaku okazały się niezbyt szczęśliwemi. Usiłowania w tym kierunku nie ustają dotąd.

— **Klejnoty Cesarzowej austryackiej.** Cesarzowa Elżbieta posiada przepyszne klejnoty. Mówimy tu nie o klejnotach rodziny Habsburgów, które jako własność fideikomisowa przechodzą z jednej cesarzowej na drugą, lecz o prywatnych kosztownościach, pochodzących z podarków rodziny i panujących innych krajów. Przed laty 26 klejnoty owe szacowane były na półtrzecia miliona guldenów, ale wraz z oprawą i robotą warte są co najmniej pięć milionów.

Między innymi precyozami wyróżnia się na szyjnik perłowy; Cesarzowa otrzymała go od Małżonka po urodzeniu się arcyksięcia Rudolfa. Cesarz zapłacił za te perły 75.000 zł., dziś warte są one co najmniej 300.000 zł., gdyż połów pereł zmniejsza się z każdym rokiem. — Cesarzowa Elżbieta nie posiada już wszystkich klejnotów szacowanych w r. 1866, rozdała bowiem dużo kosztowności córkom i krewnym.

— **Dyamenty w Antwerpii.** Przemysł dyamentowy w Antwerpii podniósł się ogromnie wskutek utworzenia w tem mieście targu dyamentami. Dotychczas kwitło w Antwerpii tylko szlifowanie dyamentów. Przeciętny obrót roczny tej gałęzi przemysłu wynosił w ostatnich latach, mimo częściowego upadku, jeszcze około 60 milionów franków. Targ na nieszlifowane dyamenty znajdował się dotąd w Londynie i szlifiarze z Antwerpii, Amsterdamu i Paryża musieli zaopatrywać się w surowy dyament na tamtejszym rynku. Chcąc się uwolnić od kosztownego pośrednictwa, postanowili antwerpijscy szlifiarze sprowadzać dyamenty wprost z Afryki. W tych dniach nadeszła pierwsza przesyłka, zawierająca 50 tysięcy karatów czyli dwa kilogramy surowego dyamentu wartości 2,000.000 franków wprost z kopalń afrykańskich w Kimberley i zakupiona została przez holenderskich fabrykantów, którzy w ogromnej liczbie przyjechali do Antwerpii na powitanie pierwszej seryi drogiego kamienia. Spodziewają się, że przemysłowcy paryscy i amsterdamscy zwrócą się także wyłącznie na targ antwerpijski, a wtedy Londyn poniósłby nieobliczalne straty.

— **Wpływ małżeństwa na handel.** Pewien angielski statystyk zrobił następujące zestawienie: „W ciągu ostatniego roku zawarto w Anglii, Walii, Szkocyi i Irlandyi przeszło 275.000 związków małżeńskich. Gdyby uszykować te pary do wielkiego kontredansa, wypełniłyby one przestrzeń dzielącą Londyn od Nowego Jorku. Gdyby dawał im ślub jeden ksiądz, poświęcając każdej parze kwadrans, potrzebowałby na to lat 25, jeżeli policzymy, iż dzień ma 8 godzin. Jak wpływa zawieranie związków małżeńskich na handel? Przypuśćmy, że czas konkurów i narzeczeństwa trwa przeciętowo 18 miesięcy i powiedzmy, że połowa zaręczonych jest od siebie tak oddalona, iż potrzebuje pomocy poczty, i że ci szczęśliwi pisują do siebie tylko raz na dwa tygodnie, nie zużywając więcej nad 2 arkusze papieru, to korespondencya ta przyniesie poczcie 59 tysięcy funtów szterlingów, a suma 20.000 musi być wydana na papier listowy. Nadto trzeba kupić 550.000 pierścionków zaręczynowych po 1 gw. i takąż samą liczbę obrączek ślubnych po tejże samej cenie. Potem następują podarunki ofiarowane przez narzeczonego narzeczonej, liczmy tylko po 1 gw. na podarunek dla każdej, a będziemy już mieli sumę wynoszącą blisko milion funtów szterl., wydaną na te prezenta i pierścionki. Narzeczeni, mieszkający w jednej i tej samej miejscowości, muszą się przecież od czasu do czasu widywać. Przypuśćmy, że każdy narzeczony wyda przez czas zaręczyn 3 funty szterl. na koszta podróży, a będziemy mieli pokaźną sumę 0.75 miliona ft. szterl.

Lecz są to tylko preliminarya. Zbliża się dzień wesela. Narzeczona dostaje wyprawę, narzeczony musi się zaopatrzyć w nową gardsrobę. Przypuśćmy, że w pierwszym i w drugim wypadku wystarczy po 5 funtów szt., to już uczyni blizko 3 miliony. Obliczmy koszta każdej uroczystości weselnej na 2 funty szt. na głowę, a będziemy mieli znów pół miliona. Opłata kościelna od 275,000 szczęśliwie poślubionych wyniesie 100,000, a małe wydatki będące z tem w związku, jak napiwki i t. d., wymagają sumy 30,000 funtów szt., na powozy zaś, jeżeli tylko jeden użyty jest do każdego ślubu, trzeba wydać nadto 60,000 funtów szt. Podróże poślubne po 5 funtów szt. na osobę — wymagają $1^1/_4$ miliona. Koszta urządzenia domu pomijamy. Można tedy powiedzieć, że roczna liczba małżeństw w Anglii równa się wydatkom w sumie 7 milionów funtów szt:, które przypadają na rzecz handlu.

— **Pamiętniki klowna.** Kto dzisiaj nie pisze pamiętników? Napisał je nawet głośny klown Durow. Z ciekawej pod niejednym względem książki wyjmujemy jeden epizod:

Pewnego dnia wyszedłem na arenę i tak przemówiłem do publiczności: „Będę przebiegał przez cyrk, ale tak prędko, iż żaden człowiek tego nie dojrzy nawet przez lornetkę. Mimo tego upraszam szanowną publiczność, aby poruszeń moich nie spuszczała z oka, a wtedy przekonają się szanowni państwo, iż rzeczywiście wykonywam nigdy niewidzianą sztukę, którą miałem zaszczyt zapowiedzieć."

To rzekłszy, wszedłem w skrzynię z otwartem wiekiem, stojącą po jednej stronie areny, podczas gdy po stronie przeciwnej znajdowała się druga zupełnie do tamtej podobna, tylko z wiekiem zamkniętem. Wszedłszy w skrzynię, zawołałem „Adieu!" i wystrzeliłem z rewolweru. W tej chwili wieko się zamknęło, ale jednocześnie otwarło się wieko drugiej skrzyni i publiczność z osłupieniem ujrzała wysuwającą się z niej moję głowę. „Dzień dobry!" zawołałem, strzeliłem znów z rewolweru i zniknąłem. — Powodzenie było niesłychane, mury cyrku drżały od oklasków.

Nazajutrz kazał mnie wezwać do siebie miejscowy starosta. — „Pańska sztuka wczorajsza zachwyciła mnie" rzekł, podając mi rękę i prosząc siedzieć, zapytał: „jak pan to zrobiłeś?"

„Najprościej w świecie, panie starosto: w jednej skrzyni byłem ja, a w drugiej mój brat; umieściłem go tam na dwie godziny przed przedstawieniem, kiedy jeszcze nikogo w cyrku nie było. Był on tak samo jak ja ubrany, ufryzowany i umalowany. Powodzenie tego numeru było tem większe, ponieważ nawet w cyrku nikt się domyślał, jak ja to urządziłem."

„Ach, tak, więc to był brat pański!" rzekł starosta rozczarowany, „a ja myślałem.."

„Sztuka udała się tem lepiej, że mój brat ma i głos zupełnie podobny do niego."

„No, tak to rzecz prosta, zanadto prosta... Powiem panu, iż wolałbym, żebyś mi pan był nie odkrył tej tajemnicy."

„Ależ pan starosta sam rozkazałeś."

„Tak, bo nie przypuszczałem, żeby to mogła być rzecz tak prosta; domyślałem się czegoś daleko bardziej skomplikowanego. To zabawne, bardzo zabawne, nie ma co mówić; ale... ale szkoda, że takie proste!

Głosy publiczności.

Podziękowanie. Od dłuższego czasu wyświadcza nam WP. Fortunat Skarzyński, obywatel z Łotajnik, dobrodziejstwa i to bądź przychodząc w pomoc nieszczęśliwym pojedyńczym osobom, bądź mając na oku dobro całej gminy Olexice-Komarów-Jaruszyce, stara się cichutko o jej dobrobyt i oświatę. W roku 1891 powstał pożar w Olexicach, a WP. Skarzyński pierwszy przyniósł nieszczęśliwym pogorzelcom pomoc, dawszy im cały budowlany materyał, pieniądze i zboże; w r. 1892 w Komarowie zniszczył ogień dwie zagrody zubożałych gospodarzy i znów W. P. Skarzyński swoją hojną ręka ich z całkowitego upadku materyalnego podniósł. Jako przewodniczący w szkole miejscowej w Olexicach stara się o rozwój tej szkoły i swą radą i datkami hojnemi szerzy oświatę między ludem. Przeto naturalnie swojem dobrem sercem, popularnością zjednał sobie sympatyę ludu, który go nie inaczej, jak „naszym dobrym panem" nazywa, a który każdego czasu w wszelkich przykrych okolicznościach śmiało do swego pana się udaje, prosząc o radę lub materyalną pomoc. Rzeczywiście tego czasu mało jest takich obywateli, którzyby lud tak pokochali i dla ludu tak przystępnymi byli, jak WP. Fortunat Skarzyński.

Przeto podpisani dla podniesienia zalety miłości bliźniego, jaką odznacza się WP. Fortunat Skarzyński, składamy Mu w imieniu całej gminy i pojedyńczych osób najserdeczniejsze dzięki za Jego dla nas dobre serce. Odczuwamy Jego żal po stracie miłych Mu osób i błagamy Najwyższego Pana, żeby go pocieszył i pobłogosławił — Jego i Jego czcigodną rodzinę zachowując w zdrowiu na długie lata.

Olexice-Komarów-Jaruszyce: *Piotr Jacyszyn*, proboszcz, *Fed' Pyłypiw* wójt, *Antoni Wais* radny i nauczyciel, *Petro Hummen* zastępca wójta, *Jurko Romanyszyn*, przysiężny i prowizor cerkiewny, *Petro Matijkiw*, prowizor cerkiewny, *Ołeksa Sołonynka* radny szk. miejsc.

Kuratorya bursy św. Kazimierza w Tarnowie podaje do wiadomości rodziców i opiekunów, że podania o przyjęcie do bursy na rok szkolny 1893/4 wnosić należy najpóźniej do 1 sierpnia b. r., a zaopatrzone być mają ostatniem świadectwem szkolnem, metryką chrztu, świadectwem ubóstwa i świadectwem lekarskiem. Adresować należy: Kuratorya bursy ś. Kazimierza w Tarnowie.

Kochawina Dalsze ofiary na kościół N. M. P. cudami słynącej, od 1 stycznia do 14 marca 1893.

N. N. z P. 2 złr, A. M. z Kleczan o pomoc M. B. 1, Krosińska ze Lwowa o uzdrowienie ciężko chorego dziecka 5 złr., Zakliczyna z Krakowa 2 zr., Górecka ze Lwowa o opiekę 1, G. D. z Wyżnicy o opiekę 3, J. A. G. 2, M. z Husiatyna o dalszą opiekę 2, Kotowicz z Mikuliczyna o opiekę 1 i na m. św., Telichowska z Brodów 2, Jordan trzecia rata votum za wysłuchaną prośbę 5, Wiśniow o błogosławieństwo dla syna 2, S. W. ze Lwowa 1, L. D. z Przemyśla za doznane łaski 3, W. G. z Sambora za łaskę 1, Pieńczykowska ze Strychaniec o opiekę 2, Zerygier o zdrowie dla dzieci 1 i na m. św., J. T. z Horodenki o opiekę M. B. 1, B. L z Sokołówki dziękując za wysłuchanie prośby 2, Muńka z Łańcuta o błogosławieństwo 2, E. J. ze Lwowa doznawszy tyle łaski niezasłużonej, proszę o dalszą opiekę 3, Męcińska ze Lwowa za doznaną łaskę 4, Strzyżewski z Kęt 1, Schaffek ze Żółkwi jako votum dziękczynne za wyzdrowienie ze słabości piersiowej 2, M K z Chorostkowa o uzdrowienie męża 2, Z. T. z Godowy dalsze votum na uproszenie łask 2, N. N. ze Lwowa na intencyę Wiktoryi 3, Burnatowicz z Kołomyi o ratunek dla chorego dziecka 2. Tokliński ze Słociny o zdrowie 1 i na m. św., Treter ze Lwowa dziękując M. N. za doznaną łaskę 1, Stanicowa z Rzeszowa o wyzdrowienie 2, Mikuła uczeń VIII klasy w Kołomyi na intencyę zdania matury 1, Bilekowa z Bursztyna o opiekę i zdrowie dla mamy 5 i na mszę św., W. M. ze Strychaniec „Matko Kochaw. wysłuchaj modłów i użycz zdrowia Matce" 1, J. S. z Tarnopola o uzdrowienie 1 i na m. św. ks. Jabłonowski z Bursztyna prosząc o udzielenie wielkiej łaski 10, Nowicka z Tarnopola przejęta gorącą wdzięcznością ku tej cudownej Matce za cudowne łaski prosi nadal o błogosławieństwo 2, i na m. św., Machnowska z Pieniak dziękując M N. za uratowanie wnuków od grożącego im niebezpieczeństwa 3 i na m. św., A. H. z B. z pokorną prośbą do cudownej Matki o zdrowie dla siebie i córek 5, J. G. ze Lwowa o opiekę M. B. 1, Dobrowolski z Kamionki o opiekę w przedsięwzięciach 1, Matka o zdrowie dla syna 2.

Sport.

Początek wyścigów „Derby" i „Oaks".

Dużo się czyta, słyszy i mówi podczas wiosennej pory wyścigowej o tych dwóch wyścigach, których nazwy powyżej są przytoczone. Z szerszego jednak koła czytelników, a nawet pomiędzy publicznością uczęszczającą na wyścigi wiele osób nie zna znaczenia tych nazw, i tak spotkać się można ze zdaniem, że „Derby" jest to wyścig, który odbywa się w mieście tego nazwiska. Tymczasem w mieście Derby, stolicy hrabstwa Derbyshire, w północnej Anglii o tej porze roku wcale nie ma wyścigów; wyścigi tamże i to bardzo mierne, odbywają się we wrześniu, bieg zaś „Derby" najznaczniejszy w całym roku rozgrywa się w Epsom 15 mil ang. (24 km) na południe od Londynu.

Być by jednak mogło, że nawet pomiędzy tymi, którzy bezpośrednio wyścigami się zajmują, są tacy, którzy nie znają początku tych dwóch biegów czyli ich genezy.

To nas nakłania do podania tu w krótkiem streszczeniu tego, co z historycznych źródeł pod tym względem zebrać się dało.

Wkrótce po tragicznej śmierci Karola I w roku 1649, towarzystwo szlachty, należącej do stronnictwa królewskiego, założyło było klub na wyżynie Banstead, panującej nad miasteczkiem Epsom, leżącem na równinie, jakby stworzonej do wyścigów konnych. Prawdopodobnie celem klubu była wówczas polityka, a sport tylko pokrywką, bo jak wspomnieliśmy, było to po ogłoszeniu rzeczypospolitej przez Kromwella. Co się w tym klubie ważnego albo ciekawego działo po wstąpieniu na tron Karola II i później za Jakóba II, Wilhelma III i królowej Anny o tem kroniki milczą. Ale pod panowaniem Jerzego I (1714 r.) klub Epsomski liczył już pomiędzy swymi członkami najznakomitszych w Anglii hodowców koni. Król z całą rodziną bywał na wyścigach tam urządzanych z wielkim przepychem i co roku dawał na nie bogatą królewską nagrodę. Nareszcie w roku 1769 pojawił się na torze wyścigowym w Epsom „Eclipse". Koń ten później zdobył sobie sławę najpierwszego w świecie bieguna, której mu dotychczas żaden koń nie potrafił wydrzeć, a swemu właścicielowi milionowy majątek. Od tej chwili tor w Epsom stał się pierwszym w Anglii.

Na błoniach, na których konie ćwiczono (trenowano), wznosiła się skromna gospoda „pod dębem" („oak" po angielsku dąb) a na dwadzieścia lat przed początkami choroby umysłowej Jerzego III sprzedaż tej niepozornej karczmy ogromny wpływ wywarła na rozwój wyścigów konnych w Anglii.

Jenerał Burgoyne zachwycony pięknością położenia kupił ową gospodę wraz z przyległym do niej lasem przepysznych starych dębów, i na tem miejscu postawił wytworny zameczek myśliwski, który później odkupił od niego lord Derby, znacznie powiększył, rozszerzył i przemienił w pełną przepychu pańską rezydencyę. Siedzibę tę nazwał lord Derby „zamkiem dębów" („Castle of the Oaks") i najchętniej w niej przesiadywał wśród prześlicznego parku w gronie przyjaciół i znajomych. Tu też utworzyła się nowa era dla instytucyi wyścigów i chowu koni.

W roku 1779 ożenił się lord Derby ze sławną z piękności lady Elżbietą Hamilton pełną wdzięku amazonką i równie jak on zamiłowaną w koniach. Uroczystości ślubne odbyły się z książęcym przepychem, a wspomnienie o nich trwa jeszcze w baladzie ludowej, śpiewanej w okolicy tamtejszej, której tytuł brzmi „Dziewica dębów" („The Maid of the Oaks").

Pomiędzy temi uroczystościami odbyły się też i wyścigi konne o nagrody składane z dobrowolnych datków („stakes"), a wyścigi te wypadły tak świetnie, że panna młoda, lady Elżbieta podała myśl, ażeby co roku na pamiątkę dnia tego na tym torze odbywał się wyścig, przyczem żądała, ażeby o nagrodę ubiegać się mogły tylko trzyletnie klacze. Pierwszy więc bieg „Oaks" odbył się w r. 1779, za inicyatywą pięknej pani „zamku dębów".

W następnym roku jej małżonek nie chcąc się żonie dać na tem polu wyprzedzić, utworzył podobną nagrodę dla trzyletnich ogierów i klaczy, a ta nagroda od swego założyciela dostała nazwę: „Derby".

Od tego czasu biegi te powtarzają się corocznie. „Derby" we środę następującą po ostatniej niedzieli miesiąca maja, a „Oaks" w następny piątek. Weszły one w życie i obyczaje angielskie, a „Derby-day" jest jak wiadomo świętem narodowem w całej Anglii do tego stopnia, że w dzień ten parlament zawsze zawiesza swe posiedzenie.

Za przykładem Anglii, w której zwycięzca „Derby" i klacz zwycięzka w „Oaks" bywają uważane za najlepsze trzyletnie konie owego roku, poszły i inne kraje i państwa, którym zależało i zależy na racyonalnem podniesieniu chowu koni. Tak więc mamy Derby francuskie w Chantilly i tamże Oaks, nazwane „Prix de Diane", — Derby austryackie i „Stutenpreis" w Wiedniu, — Derby pruskie (Union), i „Preis der Diana" w Berlinie, — prócz tego Derby niemieckie w Hamburgu, — Derby włoskie w Rzymie, — duńskie w Kopenhadze, — rosyjskie w Moskwie, itd.

Nie zawadzi tu wspomnieć, że rosyjskie Derby w Moskwie w r. 1891 wygrał polski koń „Rymko Ragi" p. Tadeusza Dorożyńskiego u niego wychowany.

Wszędzie jest to bieg w pierwszej połowie roku dla koni trzyletnich pod równą wagą na metę 2400 metrów; „Oaks" zaś bieg w tych samych warunkach i na tę samą metę wyłącznie dla trzyletnich klaczy.

Telegramy „Przeglądu".

Paryż 11 lipca. Rada miejska wystosowała odezwę do ludności, w której wzywa ją, aby w tym roku nie obchodziła święta narodowego w d. 14 lipca.

Obiega pogłoska, że prefekt policyi Lozé, otrzymać ma posadę posła w Atenach, a dotychczasowy poseł w Atenach Montholon zostanie ambasadorem w Wiedniu.

Sofia 11 lipca. Książę Ferdynand wystosował do Stambułowa pismo, w którem zapewnia, że w objawach wierności i lojalności jakie złożyła mu ludność z okazyi jego zaślubin widzi najlepszą rękojmię wielkości ojczyzny i jej szczęśliwej przyszłości.

Cetynia 11 lipca. Ojciec św przysłał ks. Mikołajowi czarnogórskiemu w darze mszał drukowany w Rzymie głagolicą.

* * *

§ **Giełda zbożowa.** Wiedeń 11 lipca. Pszenica na jesień 8·16, żyto na jesień 7·15, owies na jesień 7·09, kukurudza na lipiec-sierpień 5·59. Usposobienie spokojne.

Przyjechali do Lwowa

dnia 11 lipca 1893

HOTEL FRANCUSKI. S. Skarzyński ze Studzianki. B. Ujejski ze Strzelisk. Dr. W. Zbyszewski z Rzeszowa. W. Rutkowska z Ustrzyk dolnych. K. Kędzierska z Mereszczowa. F. Vitzburg z Monachyum. N. Rau z Karlsbadu. L. Tormóczi z Budapesztu. J. Biechoński z Brzeżan. M. Philippsohn z Berlina. W. Jaruntowski z Załanowa. M. Preuss z Pragi. T. Ujejski z Lubszy.

HOTEL IMPERIAL. A. ks. Sontio z Jass. R. ks. Puzyna z Czarnołoziec. S. hr. Jabłonowski z Wereszczanki. W. br. Uxküll z Kijowa. J. hr. Schlenker z Holandyi. P. bar. Exertier z Nancy. Ks J. Zacharewicz z Petersburga. W. Czarnomski z Warszawy. T. Axentowicz z Paryża. W. Drzymuchowski z Krosna. Dr. M. Frenkel z Czerniowiec. J. Kudisch z Jurkowic. J. Marian z Wiednia. R. Donte z Białej. E. Wołoszyński z Peczeniżyna. Gertnger de Obenburg z Rzeszowa.

HOTEL ZORZA. M. Małachowska i N. hr. Dzieduszycki z Podola. T. Komarnicka z Jarosławia. A. hr. Szeptycki z Przyłbic. O. Wassermann z Berlina. W. Biechoński z Gorlic. A. Obertyński z Nowego Sioła.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Ces. król. uprzyw. Towarzystwo ubezpieczeń

„Austryacki Feniks"

we Wiedniu.

XXXIII zwyczajne Walne zgromadzenie tego Towarzystwa odbyło się 28 czerwca br. w obecności Prezydenta honorowego Jego królew. Wysokości księcia Ludwika Bawarskiego i pod przewodnictwem wice prezydenta J. O. księcia Kaliksta Ponińskiego w obecności akcyonaryuszów reprezentujących 678 głosów.

Z odczytanego sprawozdania wynika, że ogólny przychód w oddziałach: ogniowym, transportowym, gradowym i nieszczęśliwych wypadków łącznie z przeniesieniem z roku 1891 wynosił złr. 9.865.317·22. Za szkody wypłacono na własny rachunek Towarzystwa złr. 3.846.607·16 a przeniesiono na rok 1893 jako rezerwę premijną i szkodową razem złr. 1.785.292·83. Po strąceniu odpisań wykazuje roczny rachunek czysty zysk złr. 108.144·92, z której to sumy rozdzielono złr. 100.000 jako 5% dywidendę.

(Przedruk nie będzie płacony).

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 11 lipca godz. 2. min. —.

Akcye kred.	337·35	Gal. oblig. propinacyjne	98·30
Alpiny	52.60	Wied. losy	175·50
Kredyty węg.	412·50	Akcye tyton.	184·—
Anglobanki	151·—	4% Poż. kraj. z r. 1893	96·75
Uniony	251·50	Elbethale	238·—
Ludwiki	217·75	Länderbanki	249·75
Nordbany	287·50	Renta zł. węg.	115·35
Lombardy	103·25	Bankvereiny	122 —
Losy tureckie	48·90	Węg. renta p.	94·70
Staatsbahny	309·65	Ruble	1.30·75
Czerniowieckie	257·50		

Usposobienie bez ruchu.

Z Izby handlowej. Lwów 11 lipca 1893.

1. Akcye za sztukę.

bez kuponu bieżącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej gal. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	216	50	219	50
„ Lwow.-czer.-jas. 200 zł. w. a.	256	50	259	50
Banku hipotecz. gal. 200 zł. w. a.	360	—	—	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	215	—
2. Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. gal. 5% los. w lat. 40	101	—	101	70
Banku hip. gal. 5% z 10% pr.	110	—	110	70
Banku hip. $4^1/_2$% los. w 50 lat.	100	—	100	70
Banku krajowego $4^1/_2$% w. a.	100	50	101	20
Tow. kred. galic. 4% I-sza emisya	98	—	—	—
„ „ „ 4% los. w $41^1/_2$ lat.	98	25	—	—
„ „ „ $4^1/_2$% „ 52 lat.	100	—	100	70
„ „ „ 4% „ 56 lat.	98	50	—	—
3 Obligi za 100 zł.				
Galic. fund. propinacyjnego 4%	97	90	98	60
Bukow. fund. propinacyjnego 5%	102	25	—	—
Kom. Banku kraj. 5% II emis.	102	25	—	—
Pożyczka krajowa 6%	105	—	—	—
„ „ $4^1/_2$%	100	40	101	10
„ „ 4%	96	50	—	—
„ „ 4% koronna	96	50	97	20
4. Losy.				
Losy miasta Krakowa	23	50	25	—
Losy miasta Stanisławowa	39	—	42	—

5. Monety.

Dukat holenderski	5·80	5·90
Napoleondor	9·77	9·87
Półimperyał rosyjski	10.—	0·—
Rubel rosyjski srebrny	$1·30^1/_4$	1·32—
„ „ papierowy	1·30—	1.32—
100 marek niemieckich	60·20	60·80

68)

FATALNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez

A. B. EDWARDA.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Harting.

(Ciąg dalszy).

Tak minęła zima i nadeszła wiosna, a wraz z nią uroczysty obchód świąt Wielkiejnocy. Wonne fiołki porosły gęsto mogiłę Keatsa, a blado-żółte jaskry rozsypały się na darni pośród jasnych cyprysów na Mont Mario. Wycieczki nasze posuwaliśmy teraz coraz dalej za miasto, depcąc pod stopami kwieciste kobierce łąk Campanii, odznaczając dawne granice Latium Etruryi, odnajdując pola dawnych pobojowisk Eneidy, zwiedzając miejscowości znane z tradycyi i gruzy świątyń, w których ongi czczono bóstwa, o których tylko poezya i ruiny przechowały wspomnienia.

O! była to szczęśliwa... szczęśliwa epoka naszego życia i dni mijały jakby w takt cudownej jakiejś harmonii rozbrzmiewającej nam w duszy!

ROZDZIAŁ IV.

Nie wiem zkąd mi to przyszło i jak ta myśl powstała najpierw w mojej głowie, ale zaczęłam podejrzywać mego męża, że nie ma wcale zamiaru wrócić do Broomhill.

Nie wspominał nigdy o rodzinnem swojem miejscu i unikał nawet wzmianki o niem. Jeżeli ja nadmieniłam coś o Broomhill, milczał albo odpowiadał mi zwięźle i krótko. Gdy jak kochankowie marzyliśmy czasem głośno o naszej miłości, która jak złota przędza snuć się będzie przez całą szarą tkaninę życia, nie mówił nigdy o tej starożytnej, pańskiej siedzibie swoich ojców, którąby stanowiła najwłaściwsze tło naszej sielanki; wszystkie plany przyszłości układał on zawsze pod obcem niebem. Czasem projektował zakupienie gruntu w Szwajcaryi i założenie tam wzorowej fermy; czasem marzył o nabyciu willi w Castellamare, to o zbudowaniu pałacyku nad brzegami jeziora Komo, to znów o kupnie opustoszałego pałacu w okolicach Rzymu i o urządzeniu go w stylu renesansu. To znów chciał przedłużyć podróż naszą poślubną, zwiedzić Węgry, Bawaryę i Naddunajskie prowincye, proponował mi wyekwipować statek i puścić się na wody Śródziemnego morza, przybijając do każdego portu na tureckim i dalmackim brzegu i okrążając Archipelag grecki, wpłynąć pełnemi żeglami na zielone fale Nilu, a w końcu odbyć pielgrzymkę do Ziemi świętej. Zrazu uśmiechałam się słuchając tych projektów, które przypisywałam dawnym jego nawyknieniom do koczowniczego życia; ale przyszedł czas, że przestałam się śmiać. Ogarnęła mnie dziwna jakaś obawa, zrodzona z podejrzenia, czy pod tą pozorną zwłoką nie kryje się czasem zamiar opuszczenia kraju na zawsze.

Czułam się gorzko zawiedzioną. Tęskniłam do Anglii, do ojczystych widoków i do narzecza, a powtóre bolało mnie to niepomiernie, że moja miłość snadź nie starczyła, aby uczynić mojego męża szczęśliwym nawet pod szarem niebem rodzinnem. Zazdrościłam niemal tym pogodnym błękitom południa, które było mu tak miłem, i tym obyczajom, które stały się potrzebą jego życia. Zresztą Broomhill, o którem marzyłam tyle lat, nawołując je przed oczy pamięcią serca, gdzie jako dziecko pokochałam mego dzisiejszego męża jedyną, najsilniejszą miłością mego życia, Broomhill było dziś prawną moją własnością. Nie dziw, że serce moje rwało się ku kiemu, a jednak mogłabym się była zadowolnić rozkoszą obecnej chwili. Oprócz Hugona nikt mnie nie kochał na świecie i nikt nie troszczył się o mnie. Cóż mi więc mogło zależeć na tem gdzie zamieszkamy, byle on był ze mną. Tam, gdzie jest miłość, tam jest niebo. Ewa uczyniła ziemię dla Adama rajem, a wyspa Robinsona Kruzoe była pustynią dlatego tylko, że zamieszkiwał ją samotny. Dlaczegóż więc zamiast używać pełni mego szczęścia, dręczyłam się tajemnym jakimś niepokojem? Dlaczego?... Ale tak zawsze dzieje się na świecie. Gardzimy rzeczywistością, a gonimy za niepochwytną jakąś marą. Czujemy... a potem dopiero zaczynamy rozważać; ale rozwaga przychodzi zwykle zapóźno!

Pewnego dnia, u schyłku wiosny, która szybko przemieniała się w skwarne lato, pojechaliśmy powozem do Albano. Poczerniałe mury Koloseum połyskiwały w złocie wschodzących promieni słońca, a cienie, które od wieków gromadziły się na tych samych miejscach, słały się i teraz u podnóży odwiecznego gmachu. Przez górne arkady przeglądał błękit nieba, a wiotkie i długie łodygi paproci, rosnących w górze, kołysały się w podmuchu porannego wiatru. W pośrodku areny siwobrody mnich przemawiał do pobożnej garstki zgromadzonego ludu, opodal zaś francuska orkiestra odbywała ćwiczenia na otwartem polu.

Minąwszy bramy San Giovanni i zostawiwszy na prawo Aquadukty, a na lewo starą Appijską drogę, wysadzaną rozpadającemi się w gruzy grobowcami, udaliśmy się wprost przed siebie drogą wiodącą wśród piaszczystych, nieurodzajnych łanów. Tu gdzieniegdzie tylko pojawiały okazy skąpej roślinności, a ruiny zalegały dokoła. Od czasu do czasu tylko napotykaliśmy wóz pierwotnej konstrukcyi, zaprzężony wołami, lub wieśniaka jadącego na ośle, przystrojonym w zielone gałązki. Minęliśmy szczątki czworobocznej świątyni o frontonie podtrzymanym korynckiemi kolumnami; stado pasących się w pobliżu owiec; nawpół wyschłą sadzawkę, ocienioną kilku drzewami spalonemi od słońca; chatę strzechą krytą, grobowiec zapadnięty w ziemię i strzaskany łuk, tworzący niegdyś arkadę; i tak pustynią jechaliśmy dalej mila za milą. Dalej znów napotkaliśmy w pełnym biegu stado bawołów, które konno doganiał pasterz w skórzanej kurtce i spodniach, z włócznią w ręku, w rozwianym na wietrze błękitnym płaszczu narzuconym na ramiona i „sombiero“ naciśniętym na czoło... prawdziwy obraz meksykańskiego strzelca.

Nakoniec zostawiliśmy Kampanię za sobą i Albano leżało tuż przed naszemi oczami, u szczytu stromej góry. Nizkie, pobielane mury ciągnące się wzdłuż gościńca, okalały pola, sady, oliwne gaje i ponure plantacye świerków i cyprysów. Dalej ukazały się piaszczyste wydmy pełne wybojów, drewniany krzyż na zwieszonej nad przepaścią skale, potem grób Pompejusza, i bramy Albamo stanęły otworem przed naszą karetą, która zajechała wprost przed hotel Russki. Tu pokosztowawszy wina wsławionego rymami Horacyusza i posiliwszy się śniadaniem, udaliśmy się pieszo przez plac targowy nad brzeg jeziora. Och! jakże sobie dobrze przypominam to miejsce! to skaliste płaskowzgórze, na którem staliśmy i błękitne jezioro drzemiące u spodu, w zagłębieniu gór zasianych lasami. Spuszczając się ku dołowi, wśród kolczastych krzaków, usiedliśmy na darni, u stóp drzewa rosnącego tuż nad otchłanią. Tu, zasłonięci od słońca, mając spokojne jezioro u stóp naszych, a majestatyczne góry po nad głowami, oddychaliśmy pełną piersią aromatem lasów, napawając się zarazem poezyą widoku, którą daremnie siliłyby się oddać nasze nieudolne ręce. Albumy też i ołówki spoczywały bezczynnie w naszem ręku, a my, wsparci o siebie, patrząc na ten piękny świat boży, mówiliśmy o naszem szczęściu.

— Jak mało brakowało, aby drogi nasze rozeszły się na zawsze — mówił mój mąż. — Wszak byłem już na drodze do Petersburga, a gdybym był pojechał... wielki Boże! jakimż nieszczęśliwym człowiekiem byłbym dzisiaj!

— Dobry anioł przyprowadził mnie do ciebie, Hugonie mój — odparłam, kładąc głowę na jego ramieniu. — Nie chcę nawet myśleć o tem, coby to było, gdybyśmy się nie byli spotkali. Mam to przekonanie, że jakiś traf byłby nas zawsze prędzej czy później sprowadził razem, oko w oko.

— Tak, Barbarina mia, ale mogliśmy sobie spojrzeć w oczy i rozejść się każde w swoją stronę, nie poznawszy się wzajemnie.

— Nie, to byłoby niepodobnem; jabym cię wszędzie poznała, mój Hugonie.

— Być może, żoneczko, ale pamiętaj, że lata zmieniły więcej ciebie, niż mnie. Ty z dziecka wyrosłaś na kobietę, a ja się tylko postarzałem, zbrzydłem i zdziczałem. Ale co tak posmutniałaś nagle, aniele? Czym co przykrego powiedział?

— Nie, mój ukochany, nie... tylko mi przykro pomyśleć, że mógłbyś przejść około mnie obojętnie. Niepodobna, aby jakieś dawne wspomnienie nie zakołatało do twego serca, aby ci się nie przesunął przed oczyma obraz dziewczynki, która cię tak bardzo, tak gorąco kochała, dawno... dawno temu.

Mój mąż uśmiechnął się i po dawnemu położył mi pieszczotliwie rękę na głowie.

— Dziecko, cóż cię to wszystko obchodzi kiedy losy miłościwe inaczej zrządziły i pozwalają nam cieszyć się obecną chwilą? Pomyśl raczej, coby to było, gdybyśmy się byli spotkali dopiero w starości, gdy byłoby już za późno marzyć o szczęściu!

— Lub gdybyś nie był mnie pokochał i minął obojętnie na drodze życia. O, Hugonie, to byłoby okropne...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski** Papier braci Fiałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: Walenty Hodak.